16 STRON

CENA 1 sh.

GAZETA NIEDZIELNA

ROK 6. LONDYN, BOŻE NARODZENIE 1954 NR. 51-52/295-296





KOLĘDA UCHODŹCY

(Paryż 1950)

W stajence na sianie narodził się Bóg,
A żłóbek Mu służy za tron,
Pasterze i króle padają do nóg,
I dary Mu znoszą z wszech stron.

Ten i ów daruje co ma...
Ten i ów Dziecinie coś da...
Wszak to cud, czekamy od lat!
W cichą noc raduje się świat...

A moja Wigilia zasnuła się łzą,
A ja tylko błądzę we mgle...
Pasterze i króle przed żłóbkiem już są,
I wszyscy z darami... prócz mnie...

Najmilsza Dziecino, cóż dać bym Ci mógł?
Czy łzy pogubione na skraju mych dróg?
Czy serca tęsknotę bezbrzeżną Ci dam?
Bo to mi zostało... To wszystko co mam!...
Bo to mi zostało... To wszystko co mam!...

Bo gdybym na świecie swój własny miał kąt
I własny nad głową miał dach,
Do Ciebie mi byłoby bliżej niż stąd
I nic bym nie wiedział o łzach...

Ziemi garść z Mazowsza bym wziął...
Zboża łan dla Ciebie bym ściął...
Rosy dzban uzbierać bym mógł
I nieść do Twej stajenki przez próg...!

Z warszawską kolędą przed żłóbkiem bym stał
Lub z lwowskim uśmiechem mógł przyjść...
I serca wileńskie z odpustu bym dał,
I wianek krakowski... — A dziś?...

Najmilsza Dziecino, cóż dać bym Ci mógł?
Czy łzy pogubione na skraju mych dróg?
Czy serca tęsknotę bezbrzeżną Ci dam?
Bo to mi zostało... To wszystko co mam!...
Bo to mi zostało... To wszystko co mam!...

F. Konarski (Ref-Ren)



KS. KAZIMIERZ SOŁOWIEJ

TRIUMFY KRÓLA NIEBIESKIEGO

BOŻE NARODZENIE jest faktem o decydującym znaczeniu dla każdego człowieka. Jest najważniejszym wydarzeniem,wobec którego staje każde pokolenie ludzkie. Jest prawdą najuboższą w formie, lecz najbogatszą w treści, że na ziemię pogrążoną w ciemnościach grzechu spojrzał ze stajenki betlejemskiej oczami Dzieciątka sam Bóg. Bóg stał się człowiekiem. Z Najświętszej Maryi Panny wziął ciało i złączył swą Boską naturę z ludzką w nierozerwalnej unii osobowej, w jednej Osobie Boskiej. Stanął między ludźmi Bóg-Człowiek. Syn Boży z upodobaniem mówić będzie o sobie jako i o Synu Człowieczym. Ujawniła się wszechmocna miłość Boża i miłosierdzie. Miłość, która zrobiła wszystko, co mogła, a przecież wszystko było w jej mocy, aby upodobnić się do ukochanych istot ludzkich, stając się prawdziwym człowiekiem, mającym złożyć Bogu przebłagalną ofiarę w imieniu ludzkości i oddać Mu należną chwałę. Bóg zaczął żyć życiem ludzkim, aby odrodzić nas łaską życia Bożego i wyzwolić z tyranii grzechu.

Narodziny Zbawcy nie były niespodzianką. Bóg zapowiadał je przez proroków w ciągu poprzedzających wieków. Wyjaśnił sens i oznajmił wiele okoliczności Jego przyjścia, nie wyłączając czasu i miejsca. Lecz gdy to wszystko się spełniło, gdy „Słowo stało się ciałem" to znaczy narodził się oczekiwany, w którym „pełność Bóstwa zamieszkała cieleśnie" jak mówi Pismo św. — jakże z początku niewielu ludzi uznało Boga w Dzieciątku Jezus. „Przyszedł do swojej własności, a swoi go nie przyjęli." Nie przyjęli Go ci, którzy w zaślepieniu swoim odrzucili Boski sens Jego przyjścia. Zapatrzyli się zbytnio w ziemię, a zapomnieli o niebie, o Bogu, który nie chodzi błędnymi drogami ludzkimi, lecz je prostuje i skierowuje do siebie. Sądzili, że powinien On zjawić się w blasku majestatu i potęgi materialnej jako Bóg mściciel, który tu na ziemi pogrąży na zawsze złych, a dobrych obsypie bogactwami ziemskimi. Rozumowali tak, jakby wieczność nie istniała dla nich. I dlatego Boże Narodzenie w Betlejem sprawiło im zawód. Syn Boży nie przyszedł wśród błyskawic i gromów, lecz wśród nocnej ciszy, spokojnie jak wschodzące słońce, by stać się światłością świata, światłością, która rozprasza ciemności błędów, „a ciemności jej nie ogarnęły" i nie są w stanie ogarnąć. Potęgę swej Boskiej natury przyoblekł naturą ludzką i przez nią stopniowo promieniuje Jego Bóstwo.

Sławny konwertyta Papini napisał „Dzieje Chrystusa", w których nie waha się powiedzieć, że to nie był wcale przypadek, iż „Syn Człowieczy, który później będzie zmiażdżony i pożarty przez dzikie bestie, noszące miano ludzi, ma za swoją pierwszą kołyskę żłób, gdzie ciche zwierzęta miażdżą zielsko i kwiaty. To nie był wcale przypadek, że Jezus narodził się w stajni! Czyż nasza ziemia nie była i czyż nie jest jedną olbrzymią stajnią, pełną wierzgających i pożerających się nawzajem zwierzaków?"

Nawet niewiara i zła wola ludzka nie jest w stanie zaprzeczyć, że istniał na ziemi niezwykły człowiek imieniem Jezus Chrystus. Jest On bowiem ponad wszelką wątpliwość postacią historyczną. Świadczy o Nim niebo i ziemia, świadczą Jego przyjaciele i wrogowie. A historia liczy dzieje ludzkości, biorąc za podstawę, za punkt centralny Narodzenie Chrystusa.

I ten oto człowiek, zrodzony w Betlejem i uważany przez współmieszkańców Nazaretu za syna Józefa i Maryi, udowodnił swym życiem, śmiercią i zmartwychwstaniem, że prawdziwie był Synem Bożym, Synem Najwyższego. A jako Wcielona Mądrość Boża oznajmia światu: „Ojciec i ja jedno jesteśmy." „Kto mnie widzi, widzi i Ojca". Jako Syn Boży wyszedł On z niedostępnej światłości od Ojca Przedwiecznego, by poprzez przyjęte ciało ludzkie stać się widzialnym i dotykalnym, dostępnym nie tylko dla rozumu, ale i dla zmysłów i serca ludzkiego. Człowieczeństwo Chrystusa — to narzędzie Jego Bóstwa, które ludzkim językiem objawia nadludzką mądrość, okazuje swoją świętość i wszechmoc, której ludzka natura miała służyć, a nie ograniczać. Ponad naszymi pojęciami i wyobrażeniami w jednej Osobie Boskiej łączy się Wszechmoc ze słabością, Stwórca ze stworzeniem, a Nieskończoność wchodzi w granice ciała ludzkiego. Bo jak zapowiedział Najświętszej Maryi Pannie przy Zwiastowaniu Archanioł Gabriel: „Nie masz nic niemożliwego u Boga."

Bóg-Człowiek przychodzi do nas drogą miłości i pokory i nie inną drogą powołuje nas do siebie. Zbliża się do głębin nędzy natury ludzkiej i sam najczystszy leczy ją z głównej choroby, którą jest grzech. Obiera sposób życia, który zdecydowanie przeciwstawia się szaleństwom pychy ludzkiej, wszelkim urojonym i zakłamanym wielkościom, oraz pożądliwości bogactw i zmysłowości. Swoją nauką i przykładem wzywa do bezkompromisowej walki ze złem, odrzucając to wszystko, co nam przesłania Boga i uniemożliwia pójście za Nim. Sobie i nam pozostawił jako program życia oddanie chwały Bogu przez wierne Mu posłuszeństwo. „Oto idę o Boże, aby czynić wolę Twoją".

— — — — — — — — — —

Naród polski powitał Zbawcę przed tysiącem lat, kiedy to ujrzał światło Bożego Narodzenia i śladami szczerych pastuszków i Mędrców, śladami wszystkich ludzi dobrej woli poszedł do Chrystusa i za Chrystusem. Przyjmując chrzest, ślubował wierność Bogu-Człowiekowi i dlatego nawet w najcięższych okresach tysiąclecia swej historii nie dozwolił zgasić w duszach polskich światła Bożego. „A ciemności go nie ogarnęły."

I dziś, gdy zła wola ludzka wespół z szatańską zdradziecko walczy o oderwanie ludzi od Boga, dziś gdy komunistyczni naśladowcy Heroda usiłują zabić w ludziach życie Boże, tym bardziej nie przestaniemy być wiernymi kolędnikami prawdy i wolności: Chrystusowej i polskiej. Gwiazda betlejemska wskazuje nam jedyną drogę zbawienia. Na innych drogach — poza Chrystusem — zatracenie.

W naszych staropolskich kolędach brzmi szerokim echem potężna wiara w Boga-Człowieka, nasza nadzieja i pewność zwycięstwa prześladowanych, a klęski prześladowców, brzmi wspaniałym akordem miłość Boga i Ojczyzny.

Przepięknie wobec nieba i ziemi brzmią nasze polskie kolędy, dopóki kolędnicy śpiewają je zgodnym chórem. Lecz gdy zaczynają mniej lub więcej świadomie fałszować, wprowadzać dysonanse i zgrzyty, byle tylko przekrzyczeć drugich, zachowując przy tym pozory niewiniątek — wówczas z takiego śpiewania nie ma ani chwały Bożej, ani ludzkiej. Kolędy nie są czymś oderwanym od życia. Są one wyrazem dusz i serc, wyrazem wspólnoty z Bogiem i ludźmi. Niezgoda wśród kolędników — to nie tylko koniec ich wspólnej pieśni, ale i wspólnego ideału kolędników: wolności.

Zbliżając się z wiarą do żłóbka Jezusowego, starajmy się ożywić duchem Bożego Narodzenia. To święto bowiem jest ciągle żywą rzeczywistością zjednoczenia natury Boskiej z ludzką. Całą swą mocą wzywa nas ono do pojednania z Bogiem i współbraćmi, do wzajemnej życzliwości, nie do tej papierkowej życzliwości w kartkach świątecznych, lecz do życzliwości, którą natchnął serca ludzkie Jezus Chrystus. Pomyślmy wobec Nowonarodzonego, że stanowimy przecież wielką Chrystusową i polską rodzinę, w której obowiązują prawa Nowego a nie Starego Przymierza. Nie „oko za oko i ząb za ząb" — lecz prawo wzajemnie przebaczającej miłości i pojednania w imię Chrystusa. A któż z nas jest bez winy, aby nie potrzebował przebaczenia?

Oczami Dzieciątka Jezus patrzy na nas Bóg. A On widzi z jakim kto umysłem i sercem, z dobrą czy złą wolą zbliża się do żłóbka. Jego wzroku nie zmylą żadne pozory naszego katolicyzmu i polskości. On widzi wnętrze każdego człowieka. I raz po raz ponawia swą prośbę o miejsce w gospodzie naszego życia, aby móc je rozjaśnić i wzmocnić swą łaską. Niestety, Jezus i dziś jest często bezdomny, nie mogąc znaleźć w wielu umysłach i sercach ludzkich miejsca dla siebie. W umysłach i sercach przepełnionych różnymi sprawami i drobiazgami przelotnymi, a wyzbionych i niegościnnych dla Niego. Sami bezdomni tułacze w drodze do wolności — okazujmy więcej zrozumienia bezdomnemu Bogu-Człowiekowi, dozwalając Mu zamieszkać w nas i towarzyszyć nam stale w drodze do Ojczyzny ziemskiej i niebieskiej. Z Nim dojdziemy do upragnionego celu i zgodnie zaśpiewamy kolędę: Triumfy Króla Niebieskiego.

KS. KAZIMIERZ SOŁOWIEJ

SŁOWO BOŻE

IV NIEDZIELA ADWENTU

Łuk. 3, 1-6

Roku piętnastego panowania Tyberiusza, gdy Piłat Poncjusz zarządzał Judeą i Herod był tetrarchą Galilei, a Filip brat jego tetrarchą Iturei i krainy trachonickiej, gdy Lizaniasz był tetrarchą Abileny, za najwyższych kapłanów Annasza i Kajfasza stało się słowo Pańskie do Jana, Zachariaszowego syna na pustyni. I przyszedł do całej krainy Jordanu, głosząc chrzest pokuty na odpuszczenie grzechów; jako napisano w księdze mów Izajasza proroka: Głos wołającego na pustyni: gotujcie drogę Pańską, torujcie ścieżki jego. Wszelka dolina będzie wypełniona i każda góra i wzniesienie zniżone będą. Krzywe drogi staną się prostymi, a ostre wygładzonymi będą i każdy człowiek ujrzy zbawienie Boże.

BOŻE NARODZENIE

Pierwsza Msza — Anielska

Łuk. 2, 1-14

W on czas: Wydany został dekret przez cesarza Augusta, aby spisano wszystek świat. Pierwszy ten spis odbył się, gdy Cyryn był wielkorządcą Syrii. Szli tedy wszyscy do spisu, każdy do miasta swego. Poszedł też i Józef z Galilei z miasta Nazaret, do Judei, do miasta Dawidowego, zwanego Betlejem, jako że był z domu i pokolenia Dawidowego, aby zostać wpisanym wraz z Maryją, zaślubioną swą małżonką, brzemienną. I stało się, gdy tam byli, że wypełniły się dni, aby porodziła. I porodziła syna swego pierworodnego, i uwinęła go w pieluszki i złożyła w żłobie: nie było bowiem dla nich miejsca w gospodzie. I byli w tej krainie pasterze, czuwający i odbywający nocne straże nad stadem swoim. A oto Anioł Pański stanął przy nich i jasność Boża zewsząd ich oświeciła, tak że zlękli się bojaźnią wielką. I rzekł im Anioł: Nie lękajcie się, oto bowiem zwiastuję wam radość wielką, ktora będzie wszystkiemu ludowi, że się wam dziś narodził Zbawiciel, którym jest Chrystus Pan, w mieście Dawidowym. A to będzie dla was znakiem: Znajdziecie niemowlę owinięte w pieluszki i złożone w żłobie. I nagle zjawiły się z Aniołem zastępy wojska niebieskiego, wielbiące Boga i mówiące: Chwała na wysokościach Bogu, a na ziemi pokój ludziom dobrej woli.

Druga Msza — Pasterska

Łuk. 2, 15-20

W on czas: Pasterze mówili jeden do drugiego: Pójdźmy aż do Betlejem i zobaczmy to, co się stało, o czym oznajmił nam Pan. I śpiesząc się przybyli i znaleźli Maryję i Józefa oraz Dzieciątko złożone w żłobie. A ujrzawszy, zrozumieli słowa, które im oznajmione były o tym Dzieciątku. A wszyscy, którzy słyszeli, zdumiewali się; także i temu, co im mówili pasterze. Maryja zaś zachowywała wszystkie te słowa, rozważając je w sercu swoim. I wrócili pasterze, wielbiąc i chwaląc Boga za wszystko, co słyszeli i widzieli, jako im było powiedziane.

KATOLICKI BISKUP

NAJPOPULARNIEJSZYM FILOZOFEM AMERYKI

Pogadanki telewizyjne biskupa Fulton J. Sheena — Powołanie — Tryb życia — Konwertyci

DWUWYMIAROWA Ameryka, znana nam na podstawie filmu, ma się tak do rzeczywistości, jak aktor filmowy Gregory Peck do trapisty Tomasza Mertona.

Roześmiana sztucznie ustami pięknych kobiet, w istocie coraz bardziej stawała się krainą znudzenia, znużenia, przesytu i apatii. Syta więc wszelkich dóbr materialnych, a głodna duchowych, coraz bardziej zwraca się ku katolicyzmowi, w nim słusznie szukając zbawienia.

Pogadanek telewizyjnych biskupa Fulton J. Sheen'a pt. „Warto żyć", słuchało co tydzień przeszło pół roku 18 milionów Amerykanów różnych wyznań. Pogadanki te biskup katolicki Sheen, znany od kilkunastu lat kaznodzieja i uważany za największego naszego wieku, opracował w ten sposób, że niewierzący słuchać ich mogą z równym zainteresowaniem jak katolicy.

WIARA NIE JEST DODATKIEM NIEDZIELNYM

Rozpiętość tematów jest tak różnorodna, jak samo życie. Biskup Sheen poruszał w nich zagadnienia etyczne, polityczne, sprawy drażliwe, moralne, społeczne i kulturalne, a poprzez wykwintną satyrę i dowcip, prowadzi, mało powiedzieć zasłuchanych, bo zahipnotyzowanych wprost czarem jego słów i osobowości, słuchaczy ku wyżynom i szczytom zagadnień wiary. Traktując o tych zagadnieniach w sposób współczesny, przemawiający do wyobraźni i rozsądku nowoczesnego człowieka, biskup Sheen wykazuje, że wiara w naszym życiu jest najczęściej tylko dodatkiem niedzielnym, a powinna być istotą wszelkich poczynań każdego dnia.

Pogadanki swe biskup zaczynał zazwyczaj jakąś ciekawostką, żartem czy dowcipem w rodzaju:

„Mój poczciwy sekretarz przypominał mi pewnego razu, że mam się spotkać z panem o nazwisku Lummok a chcąc mi ułatwić zapamiętanie tego nazwiska, powiedział, że rymuje się ono ze słowem „stomach". No i zgadnijcie jak zwróciłem się do owego pana? — Panie Kelly! (rym do belly — brzuch)."

„Powiedzieć czterdziestoletniej kobiecie, że wygląda na lat szesnaście, to po prostu niezręczność. Wykwintny światowiec zapyta: niech mi pani zdradzi tajemnicę, ile pani ma lat, bo chciałbym się dowiedzieć w jakim to wieku kobiety są najpiękniejsze."

Osiągnąwszy takimi dowcipnymi powiedzeniami stopień zbliżenia prelegenta do audytorium, przechodził do zagadnień powszedniego życia a z nich w coraz trudniejsze dziedziny, docierając pod koniec do problemów najważniejszych: spraw duszy ludzkiej.

„PROROCTWO" O ŚMIERCI STALINA

Częstym tematem pogadanek telewizyjnych biskupa Sheena był komunizm. Dziwnym zbiegiem okoliczności na parę dni przed śmiercią Stalina biskup sparafrazował mowę Marka Antoniusza nad ciałem Cezara. Stalin był Cezarem, Malenkow zaś Markiem. Gdy w parę dni po tym Stalin umarł, pogadanka ta nabrała wielkiego rozgłosu, wielu uważało ją za proroctwo, a audytorium biskupa Sheena zaczęło powiększać się z dniem każdym.

Biskup Sheen jest kaznodzieją z powołania, który całe swe życie oddaje na usługi ludzkości szamotającej się z trudnościami w poszukiwaniu siebie, to znaczy tej cząstki Bożej, która jest w każdym z nas i której odnalezienie jedynie może zapewnić spokój duszy.

Odnalezienie swego „ja" — tego, co jest na „obraz i podobieństwo Boże" nie jest sprawą łatwą. Tyle w każdym człowieku jest naleciałości, czy to dziedzicznych, czy społecznych, tyle zakłamania i naśladownictwa, że dogrzebanie się złotego ziarenka prawdy może się czasem wydać zupełną niemożliwością.

IRENA HRADYSKA

SŁAWNI KONWERTYCI

Biskup Sheen, przez Watykan uważany za „prawą rękę Stolicy Apostolskiej w Ameryce", dopomaga milionom ludzi różnego wyznania do odnalezienia siebie i wkroczenia na trudną drogę wzwyż. Wśród tysięcy konwertytów zdobytych przez niego dla Kościoła katolickiego znajdują się takie nazwiska jak Clare Boothe Luce, ambasadorka USA w Rzymie, żona redaktora „Time" i „Life", sławny skrzypek Fritz Kreisler, magnat samochodowy Ford II, heretycki dziennikarz Heywood Broun. Gwiazdy filmowe i milionerzy razem ze zwykłymi ludźmi przychodzą do tego obdarzonego łaską kaznodziei, by znaleźć, każdy z nich dla siebie, odpowiednie słowa.

Fulton J. Sheen, urodził się w 1895 r. w El Paso w Illinois. Religia odgrywała wielką rolę w życiu jego irlandzkich rodziców, tak że przyszły kaznodzieja od najwcześniejszego dzieciństwa stykał się z życiem Kościoła, uczęszczał do katolickich szkół i pragnął zostać księdzem. Po ukończeniu teologii wyjechał do Belgii, gdzie doskonałym rezultatem uwieńczył swe studia na uniwersytecie w Louvain, zdobywając pierwszą nagrodę, nadawaną raz na dziesięć lat, za pracę z zakresu filozofii ścisłej.

Następnie cały rok spędził ks. Sheen w Anglii, jako proboszcz kościoła św. Patryka w biednej, międzynarodowej dzielnicy Londynu Soho, gdzie do tej pory jest żywo wspominany przez parafian. Z drugiej zaś strony, biskup nadal pozostaje w kontakcie z tą swoją pierwszą parafią i za każdorazowym pobytem w Londynie zjawia się w kościele św. Patryka, by wygłosić kazanie.



Biskup Fulton J. Sheen jest jedną z najbardziej znanych postaci na ekranach telewizyjnych wielu milionów ludzi różnych wyznań na Zachodniej Półkuli.

PO 19 LATACH KAPŁAŃSTWA ZOSTAJE BISKUPEM

Podczas rocznego pobytu w Londynie ks. Sheen, pełniąc obowiązki duszpasterskie, jednocześnie był wykładowcą filozofii ścisłej, w college św. Edmunda. Dwa uniwersytety, oksfordzki i amerykański w Columbii, zaczęły zabiegać o zdobycie ks. Sheena jako profesora filozofii, władze duchowne skierowały go jednak do Waszyngtonu, gdzie został mianowany profesorem Katolickiego Uniwersytetu.

W 1951 roku ks. Sheen zostaje konsekrowany w Rzymie na biskupa, mając za sobą 19 lat nadzwyczaj pracowitej i różnorodnej działalności kapłańskiej.

W tych 19 latach ks. Sheen napisał 30 książek, z których wiele było best-sellerami, wygłaszał pogadanki w ramach katolickiej godziny radiowej, był dyrektorem Towarzystwa Szerzenia Wiary, pozostawał w żywym kontakcie z 100.000 misjonarzami, był profesorem filozofii, wydawał dwa miesięczniki, pisywał artykuły do prasy katolickiej. Od święceń biskupich, mimo że zajęć mu przybyło, nie zaniedbał dawnych, z tym że przybyły mu pogadanki telewizyjne.

„CZY CHRYSTUS UŻYWAŁBY TELEWIZJI?"

Ktoś zapytał biskupa Sheena, czy gdyby Chrystus żył w XX wieku, uważałby za stosowne korzystanie z telewizji, celem szerzenia Swej nauki. Na to biskup uśmiechnął się i odpowiedział, że jeżeli Chrystus nie pogardził takim środkiem lokomocji jak osiołek, któremu danym było triumfalnie wieźć Króla Królów do Jerozolimy, to na pewno i nasza telewizja byłaby dla Niego do przyjęcia.

Biskup Sheen prowadzi życie spartańskie; nie pije i nie pali, wstaje wcześnie, na warsztacie zawsze ma swoją książkę, mimo licznych zajęć nie szczędzi czasu na osobiste kontakty z ludźmi, zawsze jest pogodny i dowcipny, raz tylko w tygodniu pozwala sobie na parę setów tenisa.

Cały dochód z pogadanek telewizyjnych wyrażający się cyfrą 20.000 dolarów tygodniowo, jak też czysty dochód ze sprzedaży książek nie włączony w powyższą sumę oddaje na fundusz misyjny.

Z książek opracowanych przez biskupa Sheena największym powodzeniem cieszyły się: „Peace of Soul" i „Lift Up Your Heart". W „Peace of Soul" autor wskazuje drogę do osiągnięcia równowagi duchowej, głęboko poruszając zagadnienia: psychoanalizy i spowiedzi, filozofii niepokoju, strachu przed śmiercią, psychologii nawróceń, zagadnienia płci a miłości Bożej.

„Lift up Your Heart" zdobyła biskupowi sławę przede wszystkim jako filozofowi. W dziele tym autor wykazuje, jakie zastraszające konsekwencje ponosi człowiek, dający się w życiu powodować jedynie pobudkami egoistycznymi.

Polscy czytelnicy już teraz mogą się cieszyć na zapoznanie z biskupem Sheen, gdyż „Biblioteka Polska" planuje wydanie w przyszłym roku tłumaczenia „Lift Up Your Heart".

Gdyby się też kiedyś zdarzyło, że biskup Sheen zawita do Londynu, pięknie by było, aby polscy londyńczycy pospieszyli posłuchać jego kazania do kościoła św. Patryka na Soho.

WIGILIA Z MICKIEWICZEM

MARYA KASTERSKA

— Strażnik Afanasjew!

— Słuszajus, Wasze Błagorodie!

— Znowu nam przysłali papier z gubernii. Jakiegoś Mickiewicza znaleźli w Warszawie. Czort wie, co to za ptak, ten Mickiewicz!... Każą nam uważać, żeby nie było manifestacyj z jego powodu. Ty umiesz patrzeć w oba oczy, Afanasjew. Uważaj, żeby nasze Polaczyszki nie urządzili czego z tym Mickiewiczem.

— Będę uważać, Wasze Błagorodie.

◆ ◆ ◆

— Trudno — mówił ksiądz proboszcz jednej z parafii podlaskich do młodego wikarego — muszę pojechać do księdza Karczewskiego na wigilię. To jego imieniny, urodził się 24 grudnia, Adam mu na imię. Pisze mi, że specjalnie dla mnie zaprosił gości na piątą, o pierwszej gwieździe i że będę mógł odjechać o ósmej. Konie dobre, wypoczną parę godzin, to przed Pasterką zdążę do domu.

— Pewnie, że tak, księże proboszczu. A po jakiemu ksiądz Karczewski pisze? Czy po łacinie? Bo to przecie nie wolno księżom korespondować między sobą po polsku.

— A nie. Przecie raz dostałem taki list od jednego kolegi, pamiętasz, księże wikary, cośmy się naśmiali?

— I jak jeszcze, co do słowa: „Carissime Collega! Credo kozam dojendam esse, si tibi polone scribo. Ergo, tibi latine scribo. Cras dies Patroni mei, veni, carissime Collega et apporta duos stolicos ad vintum. Vale et me ama."

— No, tak, to cała szopa. Ale ksiądz Karczewski przesłał mi list przez okazję, nie potrzebował sobie głowy łamać. Więc, księże wikary, spowiedzi po południu wysłuchasz do siódmej, potem na wigilię, moja gospodyni ma wszystko gotowe. A Pasterkę już sam odprawię. Do widzenia!

◆ ◆ ◆

— Gdzie, u czorta, ten ksiądz jedzie? — rozmyślał strażnik Afanasjew. — Przecie to ich święto, polskie, katolickie... Ej, ej! A jeżeli to coś z tym Mickiewiczem? Z Polakami nigdy nie wiadomo, czego się trzymać. Już ja lepiej za nim pojadę. Bo jak nie dopilnujesz, to potem od „naczalstwa" wleci.

I strażnik siadł na małą furkę, zaprzągniętą w niewielkiego, ale niezłego konika i pojechał śladami proboszcza Krzyckiego.

◆ ◆ ◆

— Wesoło dziś i gwarno u księdza proboszcza — mówił pan Michał Korf, obywatel, stary kawaler. — Nie miałbym takiej wilii w domu.

— Ano, chociaż tak uczcimy to święto narodowe. Moskale wiedzą, że to dziś święto, wilia, a my odświętujemy przy tej sposobności i święto naszego wieszcza, Adama.

— Mój Boże, co się tam teraz dzieje w Warszawie! — westchnął pan Derecz, siwy, poważny mieszczanin.

— Raczej działo się — poprawił pan Michał. — Bo przecież sam Henryk Sienkiewicz pertraktował z generałem - gubernatorem warszawskim, przecież mów zabronili, więc musieli tylko defilować w milczeniu.

— I Władysław Mickiewicz nie przyjechał z Paryża na odsłonięcie pomnika ojca. Pewnie mu nie pozwolili — zauważył aptekarz.

— Może i pozwolili, ale sam nie chciał — odpowiedział pan Michał. — Oho, pan Władysław Mickiewicz, to harda sztuka. I patriota polski wielki. Widywałem go w Warszawie przed powstaniem. Bo trzeba państwu wiedzieć, że on całą prawie Polskę objechał, a wszystko chciał wiedzieć i widzieć.

— Podobno wiele książek swego wielkiego ojca wydał w Paryżu, bo to tam cenzury nie ma — odezwał się doktór. — I dużo przetłumaczył na francuski.

— Sam je czytałem — oświadczył pan Koszycki, zamożny obywatel, który od czasu do czasu wyjeżdżał za granicę. — I u państwa Mickiewiczów w Paryżu byłem. Istna oaza polskości ten ich dom.

— W każdym razie szkoda, że pomnika nie widział. Godebski się popisał. Widziałem fotografie. Bardzo piękne dzieło sztuki — rzekł aptekarz.

— Może jeszcze zobaczy — uśmiechnął się ksiądz Karczewski.

— Jakim sposobem? — zdziwił się doktór.

— Fortuna variabilis et Deus mirabilis, kochany panie eskulapie, jak powiedział królowi szwedzkiemu, Karolowi Gustawowi, ksiądz Szymon Starowolski, gdy mu jego szwedzka mość ręczyła, że król nasz, Jan Kazimierz, już nigdy do Polski nie wróci. Pan Władysław Mickiewicz jeszcze nie taki stary, może doczeka.

Wstali od stołu i przeszli do skromnej bawialni proboszcza, gdzie właśnie stara ciotka księdza, pani domu i gospodyni zarazem, zapalała już świeczki na choince, pięknie przybranej świecidłami, pierniczkami kolorowymi, jabłkami, złoconymi myszkami i barwnymi wycinankami.

Pan Michał, który nieźle grał na fortepianie, zaraz siadł przy nim, wziął parę akordów i wcale jeszcze dźwięcznym barytonem zaintonował:

Bóg się rodzi, moc truchleje...

Zawtórowało mu parę głosów, ci, którzy fałszowali, żenowali się z początku, ale po paru minutach rozśpiewali się wszyscy. Nawet stara ciotka księdza i usługująca kobieta, co przyniosła tacę z herbatą i struclami, wtórowały śpiewakom.

Prześpiewali kilka kolęd. Po czym pan Michał, co był niegdyś „filistrem" w Rydze, przypomniał sobie dawne czasy i zaczął zrazu półgłosem, a potem coraz silniej i głośniej:

Gdy wieczorem marzę sam, wówczas w wyobraźni
Wstają widma zeszłych lat szczęścia i przyjaźni,
Wspomnień mej młodości rój w głowie mi się cieśni,
Zda się słyszę cudny dźwięk ukochanej pieśni:
Gaudeamus igitur, juvenes dum sumus...

Podchwycili zaraz pieśń doktór i dwaj księża, ale kobiety wysunęły się pocichu do jadalni. Miały jeszcze sporo roboty tego wieczoru przed Pasterką.

— A teraz, panowie — zawołał rozochocony pan Michał — coś na cześć naszego wielkiego wieszcza, boć to i jego święto dziś obchodzimy:

Pijmy zdrowie Mickiewicza,
On nam słodkich chwil użycza,
Koi troski
Z łaski Boskiej
Jego lutni dźwięk!

— Kochani goście — zaproponował proboszcz — po kieliszku starego miodu teraz. Wiwat Mickiewicz i Godebski!

Wtem pan Koszycki, który stał przy oknie, odwrócił się nagle:

— Czy mi się zdawało, czy ktoś stał pod oknem i nagle zniknął? Księże proboszczu, możeby lepiej zamknąć okiennice?

— I pewnie, że lepiej — dodał aptekarz. — Licho nie śpi, a strażnicy lubią się plątać koło naszych plebanii. Wiadoma rzecz: zawsze prześladowania tych nieszczęsnych unitów.

— Rzeczywiście, nie rozumiem, czemu dziś okiennic nie zamknęli — zdziwił się proboszcz. — Pewnie przy wilii zapomnieli. Ale ten ktoś, to może po prostu przechodził tędy i popatrzył w okna. Ludzie długo czuwają tego wieczoru. Jeszcze wcześnie.

— Wcześnie, wcześnie, ale mnie do domu pora — zerwał się ksiądz Krzycki— bo inaczej na Pasterkę nie zdążę. W dodatku zapomniałem wziąć przepustki na przejazd z powiatu do powiatu, mogę sztraf zapłacić. No, ale może nikt nie zauważy.



...Za oknem plebanii stał rzeczywiście nieproszony i niepożądany świadek — strażnik Afansjew...

Wesołych świąt, kolego. Wesołych Świąt, panowie. Kto łaskaw, może zajrzy i do mnie w święta. No, Marciniuk, a teraz ostro, musimy zdążyć do domu przed północą.

◆ ◆ ◆

Nie mylił się pan Koszycki. Za oknem plebanii stał rzeczywiście nieproszony i niepożądany świadek — strażnik Afanasjew.

Wprawdzie konik jego, chociaż furka była lekka, nie mógł nadążyć kasztankom księdza Krzyckiego i strażnik przyjechał później od proboszcza. Lecz od razu wyrozumował sobie, że trzeba najpierw zajrzeć na plebanię, bo „ksiendzy" trzymają się między sobą, a potem dopiero szukać gdzie indziej. Więc z wprawą doświadczonego wyżła zakradł się nieznacznie na podwórze plebanii, spostrzegł bryczkę księdza Krzyckiego i już nie szukał dalej.

Nie mógł jednak podpatrywać przez okno w jadalni. Wychodziło na ulicę dość szeroką i niezadrzewioną, łatwo mógł go tam ktoś zauważyć i zaraz donieść księdzu. Klął więc swój los nieszczęśliwy, lecz nie tracąc nadziei, zbadał położenie domu. Prędko odkrył, że okna bawialni wychodzą jedno na ogród księży, drugie na małą uliczkę z dwoma rzędami drzew i bardzo zaciszną. W ogrodzie mógł być pies, więc strażnik wybrał uliczkę i, przytulony do drzewa, słuchał i obserwował bacznie.

Kolędy znał, bo nieraz szpiegował w kościele, czy nie ma unitów. „Gaudeamus" ze względu na słowa łacińskie wydało mu się również jakąś pieśnią koscielną. Ale „pijmy zdrowie Mickiewicza" było jasne i zrozumiałe. Naturalnie „buntowszczyk" Mickiewicz musiał się znajdować wśród zebranych. I czort wie, co oni tam zamyślali. A jeszcze, gdy ksiądz Karczewski zawołał: „Wiwat Mickiewicz i Godebski!", Afanasjew zrozumiał od razu, że Mickiewicz miał ze sobą jakiegoś niebezpiecznego towarzysza.

— Oj, dobrze ja zrobił, żem tu przyjechał — powiedział sobie. — Ale co robić? Wejść i zażądać wyjaśnień? Spisać protokół? Ba, kiedy nie miał do tego prawa: to nie był jego powiat.

Mógł wprawdzie zaalarmować miejscowych strażników. Ale w takim razie do nich należałaby cała zasługa. Nie, nie, za nic w świecie.

Najlepiej napisać raport dla naczelnika straży ziemskiej. Ma do tego dość materiału. Mickiewicza złapią razem z jego kamratem, a księżom też się dostanie. Może nawet wylecą z probostw.

Pogrążony w tych różowych marzeniach, Afanasjew pobiegł do swej furki i pojechał do domu.

Po drodze minęła go bryczka księdza Krzyckiego. Kasztanki wypoczęte i najedzone, pędziły jak wicher.

◆ ◆ ◆

Stary, piękny kościół gorzał światłami. Grzmiały organy i wtórował im chór, w którym czasem odezwał się i jakiś głos trochę piskliwy, ale na ogół wszystko szło nieźle. Śpiewał zresztą cały kościół, rozmodlony, rozpłakany i radosny razem.

Przybrany w lśniący ornat, owiany dymem kadzideł, ksiądz Krzycki pobożnie odprawiał pierwszą Mszę świętą: Pasterkę. Modlił się za swoich parafian, za nieszczęśliwych prześladowanych unitów, modlił się za całą Polskę, rozerwaną na trzy części i uciśnioną. Modlił się i za Mickiewicza — choć, myślał sobie, pewnie mu już tego nie potrzeba — i za Sienkiewicza, którego kochał podwójnie, i jako wielkiego pisarza i jako Podlasiaka.

Modlił się ksiądz Krzycki i nie wiedział, że nad głową jego zbierała się tymczasem burza...

◆ ◆ ◆

Strażnik Afanasjew przy kiepskiej lampie naftowej pisał pracowicie raport.

Powinno być krótko i mocno, bo naczelnik tak lubi, ale powinno też stać tam wszystko dokładnie i wyraźnie, żeby od razu było wiadomo o co chodzi.

Aż się spocił Afanasjew nad tą skomplikowaną robotą. Lecz gdy skończył i przeczytał, musiał przyznać, że sprawa była doskonale przedstawiona.

„Pokornie melduję, że w naszym powiecie buntowszczyka Mickiewicza i żadnych manifestacyj dotąd nie było.

Za to w sąsiednim powiecie N...., u proboszcza Karczewskiego Adama urządzili wielki obiad, że to niby ich polskie katolickie święto i nasz tutejszy proboszcz też tam pojechał.

Na tym obiedzie był i Mickiewicz z jakimś kamradem. I wszyscy oni pili, śpiewali i krzyczeli „Wiwat" temu Mickiewiczowi."

◆ ◆ ◆

Afanasjew zaniósł swój raport naczelnikowi.

Spodziewał się pochwały i rzeczywiście usłyszał: „Maładiec Afanasjew!", lecz naczelnik śpieszył się bardzo, był roztargniony i całą sprawę na jutro odłożył. Naczelnik miał gości.

Właśnie przyjechał z Warszawy brat naczelnikowej, nauczyciel literatury rosyjskiej w jednym z gimnazjów warszawskich, więc naczelnikostwo radzi z tak znakomitego gościa, zaprosili kilka osób na wieczór. Siadano do kolacji i naczelnik nie mógł tracić czasu na rozmowy ze strażnikiem.

◆ ◆ ◆

— Iwanie Wasylewiczu — pytała nauczyciela ładna, pulchniutka, Aleksandra Stiepanowna, żona popa — co nowego i ciekawego u was w Warszawie?

— W wielkim mieście zawsze dużo nowego i ciekawego, Aleksandro Stiepanowno. Ot, teraz ta cała historia z Mickiewiczem.

— A co on robi ten Mickiewicz? — spytała niewinnie popadia.

Iwan Wasylewicz spojrzał na nią z uśmiechem pełnym wyrazu niewysłowionej wyższości:

— Mickiewicz nic już dziś nie robi Aleksandro Stiepanowno, bo urodził się akurat sto lat temu, a umarł podczas wojny krymskiej, blisko 50 lat temu. Wróg on nasz był i buntowszczyk, choć najlepsze swoje utwory u nas w Moskwie i w Petersburgu pisał, choć go tam na rękach nosili, a sam Puszkin go podziwiał i był mu przyjacielem. Czego później zresztą żałował. Tak temu Mickiewiczowi, wielkiemu poecie swojemu, Polacy postawili pomnik w Warszawie w stuletnią rocznicę jego urodzin. Car pozwolił, wola jego.

Prawił z namaszczeniem, jak z katedry, lecz naczelnik nie słuchał go do końca:

— Ot byłby wpadł — myślał. — Durak Afanasjew! Nic nie zrozumiał...

◆ ◆ ◆

Dobre duchy czuwały nad księdzem Krzyckim. Nawet sztrafu za jazdę bez przepustki nie zapłacił.

Naczelnikowi było wstyd, więc zwymyślał Afanasjewa:

— Co ty, durak, ludzi, co pięćdziesiąt lat temu pomarli, łapiesz? Twój Mickiewicz miałby teraz sto lat, a nawet Polak, jak ma sto lat, to już rewolucji nie urządza.

Afanasjew był innego zdania, ale milczał, myśląc, że „naczalstwo" zawsze musi mieć rację.

Raport zaś jego, nie wiadomo jakim sposobem, stał się sławny na całym Podlasiu.



Nowela Elmer Davisa napisana została w okresie międzywojennym i jest świetną satyrą na snobizm, jaki w tych czasach ogarnął niektóre, dość liczne koła amerykańskie. Czytelnik współczesny mógłby się w niej dopatrzeć pewnych asocjacji personalnych w stosunku do wielu naszych osobistości emigracyjnych, musimy więc stwierdzić, że podobieństwo w tej mierze jest całkowicie przypadkowe i nie było ani zamierzeniem autora ani redakcji.

I.

MASTER PRIDDLE, ceniony ex-przemysłowiec, osiągnął wiek 55 lat nie niepokojąc się ani przez chwilę co pomyśli potomność o jego pracowitym życiu. Wdowiec bezdzietny, obcinał tylko kupony dywidendowe i zajmował się swymi interesami. Golf i loża wolnomularska stanowiły jedyne jego namiętności w tym okresie życia, którego on sam nigdy nie zechciałby nazwać starością.

Praktyki wolnomularskie można uprawiać przez cały rok, bez względu na pogodę; golf natomiast wymaga słońca i ciepła. Oto dlaczego Mr. Priddle, pewnego dnia lutowego, znalazł się na Florydzie. Mr. Priddle siedział wygodnie w fotelu na biegunach i z namaszczeniem palił cygaro, wypoczywając na pełnym słońca tarasie hotelowym po trudach wzorowo rozegranej partyjki golfa. Opodal siedział Mr. Cozzens, emerytowany dyrektor jednego z pism filadelfijskich. Na widok numeru „New York Times'a", który rozpostarł Mr. Priddle, Mr. Cozzens uśmiechnął się zjadliwie.



...Mr. Priddle umilkł nagle i z otwartymi ustami wpatrywał się w zadrukowaną płachtę papieru...

— Zawsze jeszcze lubi pan wiedzieć co stało się p r z e d w c z o r a j.

— Wolę „Times'a" z jego wiadomościami spóźnionymi o dwa dni, niż każdy inny aktualniejszy dziennik — odparł Mr. Priddle z powagą. — M o g ę p r z y n a j m n i e j w i e r z y ć w t o c o c z y t a m, nie ma blagi, jest zdrowy wpływ na opinię. Oto dziś na przykład piszą, że...

Mr. Priddle umilkł nagle i z otwartymi ustami wpatrywać się począł w zadrukowaną płachtę papieru. Wzrok jego zatrzymał się na stronicy, na której drukowano nekrologi.

— Cozzens! — wrzasnął nagle — czy ja oszalałem?

Mr. Cozzens przechylił się, spojrzał przez ramię sąsiada i począł czytać głośno artykuł zatytułowany:

H u b e r t P r i d d l e
p r z e m y s ł o w i e c,
z m a r ł w S a r a n a c.

Wybitny obywatel z West Side zmarł w 55 roku życia. Wysoki dygnitarz loży wolnomularskiej. W roku 1918 Mr. Priddle rozpoczął kampanię pod hasłem: „Gołe nogi wygrają wojnę."

— Gołe nogi wygrają wojnę? — powtórzył Cozzens. — Cóż to ma znaczyć?

— Ach, niech diabli porwą tę historię — mruknął Mr. Priddle. — Raczej wytłumacz mi, jak to się stało? Skąd ta wiadomość? I do tego w „Times"?

— Ano ktoś się pomylił.

— No, myślę, że się pomylił — fuknął Mr. Priddle — ale jak do tego doszło?

Na krwią nabiegłej twarzy Mr. Priddle obfity wąs wykonywał nieprawdopodobne ewolucje starając się umknąć przed ściągającą go dolną szczęką.

— Po prostu pomylili pana z jakimś innym Priddle.

— Jak to z innym? Przecież to jestem ja, najwyraźniej ja. Podają wszystkie szczegóły: urodzony w 1873 w Rochester, ukończył kolegium Cornell w 1894; następnie wielki mistrz loży Józefata; wszystkie szczegóły dotyczące mojej żony; wiedzą nawet, że jestem prezesem Stowarzyszenia Obywatelskiego Shuyler Endicott. A przecież ja nie umarłem jeszcze u diabła. Przecież pan chyba widzi, Cozzens, że jeszcze żyję.

— Zdobyli te wszystkie szczegóły w almanachu „Who's Who in America". Zapewne jest tam wzmianka i o panu.

— Owszem, jest. Zapłaciłem za nią 25 dolarów...

— Teraz jest już wszystko jasne. Skoro otrzymali wiadomość o pańskiej śmierci (Mr. Priddle wzdrygnął się z przerażeniem) poszukali co pisze o panu almanach, a następnie w archiwum redakcyjnym wynaleźli wszystko, cokolwiek mieli skompletowane na temat pańskiej osoby.

— Niewątpliwie pomylili mnie z kimś — podjął Mr. Priddle. — Nawet domyślam się z kim. Wiem o pewnym indywiduum, nazwiskiem Herbert Priddle. Mieszkał w sąsiednim domu. Miałem już z jego powodu tysiące przykrości. Ponieważ różnimy się tylko imieniem, odbierałem za niego setki telefonów, przyjmowałem rachunki i protestowane weksle. A teraz, jeszcze, po śmierci, robi mi taki kawał. On to bowiem niewątpliwie jest nieboszczykiem. Pamiętam, że w roku ub. wybierał się do Saranac. Gdy nadeszła wiadomość o jego zgonie, niedbały reporter zajrzał do katalogu telefonicznego, a ponieważ nie było w nim nazwiska Herberta Priddle, ze mnie, Huberta, zrobił umrzyka...

— ...poszedł później do archiwum redakcyjnego, w którym się zbiera wszystkie informacje o wybitniejszych osobistościach — wpadł mu w słowo Mr. Cozzens — znalazł tam kopertę z napisem H. Priddle i wypisał ci nekrolog. A że nic w niej pewnie nie było innego, niż relacja o owej kampanii o gołe nogi, więc o niej się tylko rozpisał. Ale, a propos, cóż to za historia?

Mr. Priddle bez słowa podał towarzyszowi gazetę. Cozzens przeczytał szybko kilkuwierszową notatkę, dotyczącą nieskomplikowanej kariery Huberta Priddle, po czym zoczył taki ustęp:

„12 sierpnia 1918 r. Mr. Priddle zaproponował, aby kobiety zrezygnowały z noszenia pończoch i dopomogły w ten sposób do zwycięstwa na polach Flandrii. Idea ta zrodziła się w jego umyśle po przeczytaniu wiadomości, że fabrykom wojskowych balonów zabrakło jedwabiu. Mr. Priddle zdumiał się tedy, że dla zadowolenia próżności naszych kobiet naraża się na niebezpieczeństwo życie tysięcy żołnierzy. Gdy zaproponowano, by pończochy jedwabne zastąpić wełnianymi, Mr. Priddle oświadczył, że byłoby to nie mniej karygodne, bo bawełna potrzebna jest dla wytwarzania materiałów wybuchowych. Za jedyny tedy sposób wywalczenia naszej armii zwycięstwa uznał Mr. Priddle pozbawienie damskich nóg osłony.

Propozycja Mr. Priddle wywołała liczne komentarze. Znalazła poparcie w kilku organizacjach feministycznych, ale została zdecydowanie potępiona przez przemysł tekstylny."

— Idea niewątpliwie oryginalna — zauważył Mr. Cozzens. — Musiała swego czasu być prawdziwą sensacją lokalną...

— Cozzens, to oburzające! Nie dość, że robią ze mnie trupa, ale jeszcze wywlekają tę ośmieszającą historię...

— A więc naprawdę jest pan autorem tego pomysłu?

— Niestety tak. Do diabła, Cozzens, zapewniam pana jednak, że to nie jest jedyna idea, jaką miałem w swoim życiu, jeśli chodzi o sprawy społeczne. A oni o niczym innym nie piszą! Przecież czytałem zawsze „Litterary Digest", a w jednej z czytelni publicznych miałem abonament. A że tego nie wykrzykiwałem na ulicy, że nie reklamowałem swoich zasad, to jeszcze nie upoważnia do ośmieszania mnie!

— Któż jednak dostarczył im tych wiadomości o panu?

Mr. Priddle zaczerwienił się.

— Widzi pan... to było tak... Pamięta pan w roku 1918 wszyscy byliśmy trochę zdenerwowani i wytrąceni z równowagi. Pewnego dnia jeden z tych reporterów, którzy przeprowadzają ankiety — wie pan? Wybierają na los szczęścia kilka osób i wszystkim stawiają te same pytania — otóż jeden z takich typów zaczepił mnie na rogu B r o a d w a y' u w porze l u n c h u. „Jaką nową ofiarę winna ponieść ludzkość dla przyczynienia się do zwycięstwa?" — zapytał. Była to, jak rzekłem, godzina lunchu. Broadway był zatłoczony, wszędzie pełno kobiet w jedwabnych pończochach. Widzi pan... byłem wtedy młodszy, mniej wyrobiony... Na gorąco tedy wyklarowałem reporterowi pomysł, który się narodził w mej głowie: Poświęćmy pończochy dla balonów!

Następnego dnia, od rana, poczęli mnie nachodzić reporterzy innych pism, żądając, bym rozwinął szerzej moją ideę. Na szczęście przyszła jakaś nowa krwawa ofensywa i zapomniano o tym wszystkim. W jaki sposób wygrzebał dziś „Times" tę historię?

— Mieli ją w kartotece — odparł Cozzens. — Wszystko, cokolwiek drukuje się na temat jakiejś osobistości, jest wycinane i kompletowane w archiwum. O panu nie mieli zapewne żadnych innych informacji, poza biografią z almanachu. Nigdy pan nic nie pisał, nie udzielał wywiadów?

— Nie, wtedy na Broadway'u jedyny raz w życiu rozmawiałem z reporterem.

— Teraz już wszystko jasne. Pomieszali pana z owym Herbertem, wygrzebali z kartoteki tę jedyną historię i wypisali panu nekrolog. Wyczytawszy w almanachu, że jest pan prezesem towarzystwa Shuyler Endicott, uznali pana za godnego epitafium na pół kolumny.

— Ależ to towarzystwo istnieje tylko na papierze! Przed czterema laty zebrało się kilku obywateli w West Side w celu obmyślenia wspólnych środków protestu przeciw zbyt wysokim podatkom. Wybrali mnie ni stąd ni zowąd prezesem. Od tego czasu nie odbyło się ani jedno zebranie. Wszystkim zresztą zajmował się wiceprezes.

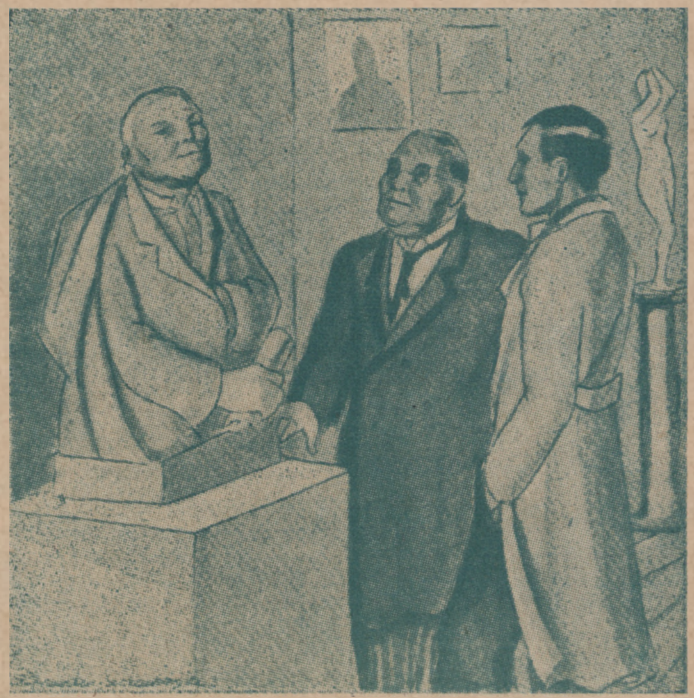
— Wszystko jedno... W każdym razie tytuł prezesa stowarzyszenia obywatelskiego Shuyler Endicott brzmi pięknie, a to wystarcza. Uznali pana za wybitną osobistość i uczcili nekrologiem.

Cozzens nie wypowiedział wszystkiego. Nie uszło bowiem jego oku fachowca, że dział nekrologów w „Times'ie" był tego dnia wyjątkowo ubogi. Większość zmarłych, o których pisano, byli to albo spensjonowani urzędnicy, albo wdowy po szeryfach prowincjonalnych, lub w najlepszym razie członkowie jakichś przeddyluwialnych gabinetów francuskich, czy wreszcie ostatni weterani wojny secesyjnej. W takim otoczeniu Mr. Priddle, ozdobiony tytułem prezesa, musiał się wydawać wielorybem.

— Pragnęli panu dać pół kolumny, a że nie znaleźli w kartotece nic innego, więc rozdmuchali tę historię z gołymi nogami — powtórzył Cozzens.

— Niech ich licho porwie — denerwował się Mr. Priddle. — Przecież teraz wygląda tak, jakbym przez całe życie nie miał żadnej innej idei, żadnej rozsądniejszej koncepcji, tylko te nieszczęsne pończochy

— Sam pan sobie winien — podjął Cozzens — Gdyby pan przy każdej sposobności popisywał się swymi poglądami na sprawy społeczne i polityczne, miałby pan dziś nekrolog upstrzony cytatami i sentencjami pańskich mów i deklaracji. Po prostu za mało dawał pan znać o sobie. Niech pan telegrafuje do „Times'a", że pan nie umarł. Zamieszczą sprostowanie i, być może, wyrzucą za drzwi reportera, który tę bzdurę napisał.



...Pozował do wspaniałej rzeźby...

Mr. Priddle zamyślił się.

— A niech mu tam darują... Co do mnie zawdzięczam mu pewną cenną lekcję.

(Dokończenie na str. 6)

MR. PRIDDLE I POTOMNOŚĆ

(Dokończenie ze str. 5)

II.

Nazajutrz „Times" zamieścił obszerne sprostowanie. Mr. Cozzens przeczytał je z uwagą. Począł szukać Mr. Priddle'ego. Ani tego jednak, ani następnego dnia nie było szanownego prezesa towarzystwa Shuyler Endicott na golfie. Nie widziano go też w hallu hotelowym. Gdy wreszcie, po kilku dniach, dwaj przyjaciele spotkali się, Mr. Priddle wyjaśnił:

— Ach, byłem bardzo zajęty. Pisałem listy, wysyłałem depesze. Musiałem odpowiadać przyjaciołom — tym starym durniom, którzy dowcipnie zapytywali mnie o ile właściwie umarłem, a o ile żyję. Nie przypuszczałem, że dojrzali ludzie mogą się puszczać na takie głupie kawały.... Ale, a propos, Cozzens, chciałbym na wszelki wypadek zasięgnąć pańskiej fachowej rady w kwestii... hm... technicznej... Jak właściwie trzeba postępować, by stać się trochę głośnym, by prasę p o i n f o r m o w a ć o swoim sposobie myślenia, o swoich ideach... Rozumie pan?

— A cóż pan zamierza czynić? — zapytał Cozzens.

Mr. Priddle zaróżowił się jak dziewczątko.

— Widzi pan... pewnego dnia „Times" ogłosi znowu mój nekrolog, tym razem zapewne prawdziwy. Obawiam się, że nie mając nic lepszego pod ręką, wywlecze znów tę nieszczęsną historię o gołych nogach. Teraz, gdy wiem, że redakcja uznała mnie za godnego półkolumnowego nekrologu, wolałbym się zabezpieczyć przed śmiesznością. Niechaj nekrolog przedstawia prawdziwe moje duchowe oblicze. Gdybym tylko wiedział, jak dać poznać prasie moje zapatrywania...

— Tylko tyle? No, z tym nie będzie kłopotu — odparł Cozzens z uśmiechem. — Jest pan jeszcze ciągle prezesem stowarzyszenia obywatelskiego Shuyler Endicott, a reporterzy nie wiedzą, że ta organizacja jest fikcją. Jak pan niewątpliwie zauważył, po śmierci jakiejś wybitniejszej osobistości pisma zwracają się do całego szeregu poważnych obywateli z prośbą o wyrażenie opinii o zmarłym. Im więcej takich opinii i hołdów, tym pismo bardziej zadowolone. Gdy tylko w najbliższej przyszłości umrze ktoś sławny, jak Edison lub Untermayer, niech pan dzwoni do któregoś z dzienników i oświadczy, że Mr. Priddle, prezes stowarzyszenia obywatelskiego Shuyler Endicott pragnie ze swej strony oddać również hołd pamięci zmarłego. Poza tym trzeba wykorzystywać wszystkie inne okazje: plan nowego lotu nad Atlantykiem, kampanię przed wyborem burmistrza, dyskusję nad prohibicją — i ciągle mówić, jak najwięcej mówić. Wszystko jedno, czy to, co się powie, będzie rozsądne, czy banalne.

— Czy rzeczywiście „Times" zechce drukować to, co mu powiem, np. o Edisonie? — zapytał niepewnie Mr. Priddle.

— Jeśli tylko oświadczy pan, że mówi prezes stowarzyszenia Shuyler Endicott — na pewno wydrukuje. Co więcej! Nie minie wiele dni, a reporterzy sami zgłaszać się będą do pana z prośbą o wyrażenie opinii w różnych aktualnych sprawach. Reporter, który ma zebrać opinie o jakimś zmarłym luminarzu, jest częstokroć w kłopocie, zwłaszcza w sobotę po południu, gdy miasto się wyludnia. Gdy tylko będzie miał z panem kontakt nawiązany, nie omieszka wydrukować pańskiej opinii. Dla niego jest także wygodnie mieć taką asekurację w postaci wywiadu z prezesem towarzystwa o pięknej nazwie...

— Ale... — oczy Mr. Priddle posmutniały — czy ten sposób zyskiwania rozgłosu nie jest trochę... wyprany z ambicji i poczucia godności własnej?...

III.

Od tego dnia w życiu Mr. Priddle'a nastąpił radykalny zwrot. Gdy po raz pierwszy zatelefonował do „Times'a", by w imieniu stowarzyszenia Shuyler Endicott złożyć hołd pamięci zmarłego właśnie prezesa stowarzyszenia dla organizowania ofiarności publicznej, nie był zbyt pewien siebie; miał jednak chwilę rzetelnego zadowolenia, gdy nazajutrz ujrzał w „Times'ie" wierną kopię tych komunałów, które podyktował reporterowi. W dwa dni potem otrzymał od pewnej agencji wycinkowej propozycję skorzystania z jej usług. Mr. Priddle zapłacił abonament i stwierdził, że pieniądze nie poszły na marne. Podniosły panegiryk, którym pożegnał się z reporterami po śmierci senatora Salpingera był cytowany nawet przez prasę z Portland (Oregon); jego opinia o nowej taryfie celnej znalazła echo aż w dalekiej Pasadenie. Z upływem czasu Mr. Priddle był coraz bardziej poszukiwany przez reporterów. Gdy tylko zachodziła potrzeba tzw. opinii wybitnych członków społeczeństwa, redakcje telefonowały do prezesa towarzystwa Shuyler Endicott i, zaiste, nie zawiodły się na nim nigdy. Mowy pogrzebowe, zwięzłe epitafia, czy obszerne komentarze nowych ustaw były przez Mr. Priddle'a niezawodnie dostarczane. Mr. Priddle stwierdził z zadowoleniem, że jest coraz mniej osobą, a coraz więcej osobistością. Zapraszano go na obiady do stowarzyszenia kupców, do Town Hall Clubu, do „Komitetu Tysiąca". Pewnego dnia w jednym z reportaży znalazł swoje nazwisko: „W czasie wczorajszego upału widzieliśmy na ulicy Mr. Huberta Priddle'a, cenionego prezesa stowarzyszenia Shuyler Endicott, popijającego sok pomarańczowy z lodem."

Mr. Priddle co prawda nie wychodził owego dnia wcale z domu i nie miał w ustach ani kropli soku pomarańczowego, ale potrafił ocenić ten dowód szacunku i z radością zapłacił za 47 wycinków z pism prowincjonalnych, powtarzających tę wiekopomną wiadomość, którą nadesłała mu agencja. Ów sok pomarańczowy stał się naprawdę probierzem znaczenia, jakie zdobył Mr. Priddle. Oto stał się osobistością, której nazwiska nie może pominąć reporter, opisujący przechadzkę po mieście w czasie upałów...

W ten sposób zniknął ze świata ów dawny Mr. Priddle, człowiek skromny i cichy, zajmujący się business'em, golfem i wolnomularstwem, narodziła się dostojna osobistość, która już nie miała czasu ani na golfa, ani na zebrania loży. Całe dni bowiem wypełniało udzielanie wywiadów lub wklejanie do albumów setek wycinków, nadsyłanych przez agencje. Wiele czasu wypełniało także pozowanie do wspaniałej rzeźby przedstawiającej Mr. Huberta Priddle'a w całej jego cielesnej okazałości, dzierżącego w dłoni zwitek z tekstem mowy pogrzebowej. Nie można bowiem dopuścić, aby osobistość tak wybitna zeszła ze świata, nie pozostawiając potomności swego wizerunku, uwiecznionego w marmurze.

Jedną miał tylko Mr. Priddle troskę: on sam kompletował pracowicie wszystkie echa, jakie budziły jego wystąpienia. Czy jednak prasa czyni to samo? Czy nekrolog, jaki poświęci mu kiedyś „Times" będzie pełen tych wielkich idei i myśli, jakie wyrzucał z siebie z niebywałą obfitością zmuszony do galopu mózg wielkiego człowieka? Niepewność stała się z czasem prawdziwą obsesją, która zniknęła dopiero wtedy, gdy ktoś poinformował Mr. Priddle'a, że jako wybitny obywatel uzyska bez trudu dostęp do archiwów „Times'a" i będzie mógł stwierdzić czy dbają tam o jego wystąpienia.

Następnego dnia udał się tedy Mr. Priddle do biur „Times'a". Przyjęto go nad wyraz uprzejmie i zaprowadzono do wielkiej sutereny, gdzie na olbrzymich ponumerowanych półkach spoczywały mnogie koperty z wycinkami. Na jednej z półek przeczytał: „Priddle Hubert, wybitny obywatel nr 453678". W minutę później doręczono mu kopertę nr 453678, ciężki zwitek papierów, ważący ze trzy kilogramy. „Times" uczynił wszystko, by naprawić swój dawny błąd.

Wybitny obywatel opuścił gmach wydawnictwa w błogim spokoju. Teraz już bez lęku może oczekiwać śmierci.

ZOFIA BOHDANOWICZOWA

KOLĘDY OSTROBRAMSKIE

Ze świetnego zbioru poezji Zofii Bohdanowiczowej „Ziemia miłości", który ukazał się niedawno nakładem Społeczności Akademickiej Uniwersytetu Stefana Batorego, zamieszczamy kilka kolęd, tchnących, jak wiele wierszy znakomitej poetki katolickiej, tęsknotą i umiłowaniem ziemi wileńskiej.

Przybieżeli do Betlejem, płakali,
Jako ptacy po śniegu posiadali,
Postulali ramiona i głowy
Pod okrutnym wichrem zimowym.

Pogubili po drodze skrzypeczki
I multanki i fujareczki...
I piosenki kantyczkowo odwieczne
Pomieszali z płaczem serdecznym.

Powiadali między sobą w rozpaczy:
Już nie żyje Kuba-nieboraczek,
W polu leżą śniegiem zasypani,
Braciszkowie pomordowani.

Padły nasze woły i owce
Po wądołach i po manowcach,
A coć jeszcze ocalało ze stada,
Nieprzyjaciel nam porozkradał.

Poglądali po niebie w żałości,
Czy nie widać złocistej jasności,
I słuchali z zapamiętaniem,
Czy ich dojdzie anielskie śpiewanie.

O północy weszła gwiazda czerwona,
Nieruchoma w sinych osłonach,
Zakrwawiła się od niej biel ziemska...
— Betlejemskaż to? Betlejemska?

Tak pytali poglądając wokół...
A nie było odpowiedzi... Tylko z mroku
Wypełzł chudy owczarek jak szczapa,
Zawył w gwiazdę i dalej poczłapał...

Oni, zasię, w groźnym blasku, przelękli,
Zobaczyli czarne zgliszcza stajenki,
Czarne dymy — miast skrzydeł aniołów
I miast żłóbka — garstkę popiołu.

Przybieżeli do Betlejem... Nie wiedzieli,
Ze w tym roku nie śpiewają anieli
I ptaszkowie, potruchleli od lęku,
Nie wzbijają się ponad stajenką.

Więc czekali, aż się ozwą nad lasem:
Szpak — tenorem, a gołąbek — basem,
Aż się puszcza Rudnicka ocuci

W pierwszym wiosny idącej przeczuciu,
Aż szum pójdzie po gałęziach ockniętych
Żywiołowy, kolędowy, wniebowzięty!
Aż Wilija, gdy ją wicher omuśnie,
Srebrnym szeptem zakołysze się, pluśnie
I zadzwonią nurty i roztocza
Pod piersiami lodowymi Narocza...

Nie wiedzieli... Chcieli hołd oddać Panu
I przybyli z Sybiru, z Kazachstanu,
Z Uralu, ze Smoleńska, z Siewierza —
Miłosierdzia pragnący pasterze...

I czekali na mrozie, objęci,
I zastygli w nieskończonym adwencie.

Przybieżeli do Betlejem przez trakt lidzki,
Przez oszmiański trakt i przez rudnicki;
Pozrywali się, gdzie który leżał,
Z puszczy, z rojstu i z przyjezierza,
Z osad leśnych, z pustych zaścianków,
Spod opłotka, zza węgła, spod ganku,
Z łóż kępiastych, z tarninowych cierni...
Pastuszkowie, pastuszkowie wierni!

Ach, śpiewali! ach, kolędowali
Mroźnym gwiazdom, miesięcznej dali,
Zmarzłym drzewom, osadziałym chrustom,
Śniegom, szronom i ciszom i pustkom.

I widzieli zamkniętymi oczami
Jaśniejący obraz w Ostrej Bramie
I słyszeli od świętego Jana
Pasterkowe granie na organach
I szept tłumów zatopionych w pacierzach
Od Katedry i świętego Kazimierza.

Przez noc całą trwali w radości,
Rozrzewnieni, ufający i prości,
A o świcie wracali traktem lidzkim
I oszmiańskim traktem i rudnickim.

Przez kraj pusty, przez pola bezgłose
I wsiąkali w mokry cień sosen...
I wierzyli, że w tym śniegu i chłodzie
Znów się Chrystus jak co roku narodził...

Ach, jedyni, co tej nocy mrok starli —
Pastuszkowie, pastuszkowie umarli...

POLSKIE REKORDZISTKI SPORTOWE

Któż z nas starszych nie pamięta nazwisk Haliny Konopackiej, Stanisławy Walasiewiczówny, Jadwigi Wajsówny, Jadwigi Jędrzejowskiej, których wynik przed wojną budziły szacunek na wszystkich boiskach świata?

Dziś sport w Kraju jest usilnie popierany przez reżym, służy nie tylko idei sportu, ale jest przede wszystkim narzędziem propagandowym reżymu. Niemniej, jednak uprawiają go Polacy, którzy mają talent i nerw współzawodnictwa.

Polskie zawodniczki w lekkiej atletyce podtrzymują tradycję swoich poprzedniczek, biją rekordy — zrobiły znaczne postępy.

Na dziesięć żeńskich konkurencji tylko trzy rekordy Polski ostały się sprzed wojny, ale są to rekordy na poziomie światowym: bieg 100 m — Walasiewiczówna — 11.6 sek. z r. 1937, bieg 200 m — Walasiewiczówna — 23.6 sek. z r. 1935, rzut dyskiem — Wajsówna — 46,22 m z r. 1936. W rzucie dyskiem rekord Europy i świata jest daleko lepszy od rekordu Wajsówny i należy do Rosjanki Dumbadze (57,04 m), ale zawodniczki rosyjskie budową raczej przypominają mężczyzn niż kobiety...

Toteż nic dziwnego, że na 10 konkurencji 7 rekordów Europy należy do nich. W każdym razie polska kobieca lekkoatletyka należy do ekstraklasy europejskiej.

Polskie lekkoatletki to młode, utalentowane, pełne wdzięku dziewczęta, które chętnie uprawiają lekkoatletykę.

Najmocniejszym punktem polskiej lekkoatletyki jest skok w dal, który jeszcze do niedawna należał do Walasiewiczówny (6,04), ale w tym roku Duńska poprawiła go do 6.12 m, Kusion skoczyła równe 6 m, a Iwicka i kilka innych zawodniczek zbliżają się do 6 metrów.

W biegach przez płotki, w konkurencji bardzo trudnej Polki zrobiły duży skok naprzód. W innych biegach jak: 100, 200, 400, 800 m Polki okazały specjalne uzdolnienia, — biegają szybko..

O postępach lekkoatletyki w bieżącym sezonie świadczy zestawienie dziesięciu wyników tegorocznych w porównaniu z rokiem ubiegłym:

	Rok bieżący:	ubiegły:
100 m	— 12,44	12,24
200 m	— 25.98	25,43
400 m	— 60.53	58,96
800 m	— 2:20.76	2,17,17
80 m płotki	— 12,01	11,75
w dal	— 5.461	5,653
w zwyż	— 148,95	151.30
kula	— 12,276	12,677
dysk	— 39,812	40,805
oszczep	— 41,129	43,611

Rekordzistkami Polski są: 100 m — Walasiewiczówna (11,6), 200 m— Walasiewiczówna (23,6), 400 m — Wawczynek (58.2), 800 m — Pestkówna (2:12,0), 80 m płotki — Bocianówna (11,4), w dal — Duńska (6,12), w zwyż — Adamczykowa (1,55), kula — Klimajowa (13,98), dysk — Wajsówna (46,22), oszczep — Majkówna (47,03).

Polki na emigracji ograniczają się do gry w siatkówkę, tenisa i ping-ponga. Stosunkowo najlepsze wyniki mają w siatkówce.

T. K.

PUSTE NAKRYCIE

To zdarzyło się wówczas, gdy Zielińscy mieszkali jeszcze w umeblowanym flacie przy Fulham, a więc w roku 1947. Nie było to mieszkanie najlepsze, chociaż mieściło się w polskim domu. Nie było zaś dobre przede wszystkim przez właścicielkę tego domu, panią Leokadię. Była to osoba ogarnięta dwoma bzikami, które się w niej wytworzyły z czasem, prawdopodobnie z tego powodu, że nie miała dzieci, choć je przez całe życie bardzo mieć chciała. Pani Leokadia zajmowała się działalnością społeczną oraz porządkami w swoim domu.

Nie chodziło tu jednak o zwykłą, normalną działalność społeczną, bo ta przecież jest rzeczą zrozumiałą i pochwały godną, ale to był istny społeczny szał. Pani Leokadia należała do wszystkich stowarzyszeń, jakie istniały i we wszystkich chciała piastować najwyższe godności. Również i inklinacja do porządków nie była normalna. Ponieważ zebrania w stowarzyszeniach nie odbywają się rano, przeto nieszczęsna gospodyni od godziny siódmej latała po całym domu ze ścierkami oraz szczotkami i czyściła najdrobniejsze plamki kurzu i brudu. Gdy państwo Zielińscy, albo któreś z dzieci wracali z zakupów, pani Leokadia czujnie wyskakiwała zza drzwi swego mieszkania i natychmiast ścierała ślady kroków na woskowanych deskach schodów, robiąc przy tym bolesną i męczeńską minę osoby pokrzywdzonej przez los.

Nie było to więc mieszkanie idealne i chodziło się po nim, jak po szpilkach w akompaniamencie kwaśnych uśmiechów. Ale cóż było robić? Pan Zieliński sam dopiero od roku był w Anglii, część rodziny przyjechała przed kilkoma miesiącami, a reszta się zjeżdżała. Trzeba było w ogóle być zadowolonym, że się miało dach nad głową i że nie wyrzucali z mieszkania z powodu dzieci. Janek nie miał przecież jeszcze roku, a nie należał wcale do dzieci cichych i łagodnych.

Więc się mieszkało w tym domu pani Leokadii na Fulham i wiodło się życie pełne trosk i kłopotów. Ale w domu pana Stanisława największe nawet kłopoty nie mogły wpływać na zahamowanie zwykłych tradycji i zwyczajów. Nadszedł grudzień 1947 roku i w porę zostały wydane zarządzenia, co do obchodu świąt, wilii, drzewka i ozdób choinkowych.

Na jakiś tydzień przed świętami o godzinie siódmej rano na progu sypialni państwa Zielińskich zjawiła się pani Leokadia, tym razem jednak wyjątkowo bez ścierek i szczotek, ale za to z przerażeniem i egzaltacją na twarzy.

— Telefon angielski do pana. O siódmej rano! — wydyszała z przejęciem. Pani Leokadia bowiem miała i tę jeszcze cechę charakterystyczną, że niesłychanie łatwo ulegała ekscytacji, w związku z czym prawdopodobnie bardzo lubiła chodzić na sensacyjne filmy do kina.

Pan Stanisław wrócił bardzo szybko z dołu, ubrał się pośpiesznie i nie jedząc śniadania — wyszedł. Wrócił po kilku godzinach, nie mówiąc nikomu, co to był za telefon i w jakiej sprawie. Gdy później w rodzinie dziesiątki razy omawiano zdarzenia owej gwiazdki 1947 roku, i ów ranny telefon, nigdy nie było można wydobyć od pani Michaliny, czy wiedziała ona o treści telefonu i rozmowie męża z wysokim urzędnikiem Home Office'u, czy też nic nie wiedziała, jak wszyscy inni.

A tymczasem dnie szły swoim grudniowym trybem angielskiej pogody: deszczu i wichrów. Coś z tego zasępienia udzieliło się obliczu pana Stanisława, ponieważ nie był w tych czasach tak równy i pogodny, jak zawsze. Wyszperała to, jak zwykle swoimi wszystko widzącymi oczkami, Ania, naukochańsza córka ojcowska. Wyłapała, jak to ojciec przechodząc przez jadalnię kilkakrotnie w ciągu dnia zatrzymywał się zamyślony przed obrazem Ostrobramskiej i ciężko wzdychał. Wieczorem któregoś dnia wsunęła się do jadalni, gdy ojciec był sam i siadła przy nim.

— Zmartwienie? — zapytała patrząc prosto w twarz ojcu swymi jasnymi, współczującymi oczyma.

— Zmartwień nie brak — powiedział, starając się uśmiechnąć.

— Ale jest jedno specjalne?

— Jest — powiedział krótko, starając się podnieść z przygnębienia.

— Mogę pomóc?

— Nie, mała. Nie możesz pomóc. Sam muszę sobie dać radę.

Na tydzień przed świętami było już ustalone, kto będzie na wilii. Ponieważ mieszkanie było małe, oprócz rodziny będą tylko dwie osoby: pani Zofia Szerapowska i Paweł Romkowski, rotmistrz w PKPR'ze. Pani Michalina przy pomocy obydwóch swych starszych córek i Zbyszka cała oddana była przygotowywaniu świąt, aby z małej sumy, przydzielonej przez męża, mogły wypaść jak najokazalej i najbardziej zbliżały się podobieństwem do wilii w Polsce. A trzeba pamiętać, że Janek, ciągle wrzeszczący i domagający się uwagi wcale nie pomagał do tych przygotowań.

Już było tylko trzy, a później dwa dni do świąt, a nic się ciekawszego nie zdarzyło, choć ten i ów w domu zdawał się odczuwać, że „coś wisi w powietrzu". Ale szły gwarne dni przedświąteczne, więc o wszystkim innym zapomniano.

W dzień wilii pokój jadalny uprzątnięty został z niepotrzebnych mebli, które — ku cichemu przerażeniu pani Leokadii — przesunięto do innych pokoi. W jadalni został tylko wielki stół i krzesła. W kącie pod oknem stanęła wysoka do sufitu choinka, ustrojona w ozdoby i anielskie włosy. Od samego rana Jadzia i Ania zajmowały się tymi ozdobami i przytwierdzaniem świeczek, pilnując równocześnie Janka, który raczkował pod choinką, ściągając co niższe świecidełka i pakował je czym prędzej do buzi. Pan Stanisław został wyprawiony do miasta na śledzia, ponieważ w takim dniu mężczyzna w domu przeszkadza. Wyjątek zrobiła pani Michalina tylko dla Zbyszka, który w swym piętnastym roku życia czuł się już mężczyzną całą gębą, ale równocześnie od czasów Rosji odznaczał się dużą użytecznością w gospodarstwie. To on z matką okupowali kuchnię, w której przyrządzały się trzy gatunki ryb na wilię, mak z miodem, a także babki i tort.

Gdy dziewczęta skończyły stroić drzewko, zabrano się do zastawiania stołu. Jedyny biały obrus zasłał duży stół, a pod obrus włożone zostały garstki siana. Gdy Zbyszek przyniosł z miasta to siano, pani Michalina mocno nad nim kręciła głową, porównując pewnie z sianem czombrowskim. Ale Zbyszek powiedział, że dostał to siano w stajniach „Express Dairy", a mleczarnie to są jeszcze jedyne miejsca w Londynie, gdzie trzymają konie i że nie ma co kręcić głową, bo można było nie dostać i takiego siana. Tak więc pamiątka stajenki betlejemskiej dostała się na stół, chociaż może nie była w najlepszym gatunku.

Jadzia poszła do kuchni, aby się zapytać matki o liczbę nakryć. Pani Michalina podparła po gospodarsku twarz ręką ruchem odwiecznie znanym jej dzieciom i zamyśliła się.

Gawędy Przygodne

— Nakryj na dziewięć.

— Dziewięć? A przecież nas będzie tylko ośmioro.

— To nic, nakryj na dziewięć. Jak zawsze jedno zostawimy puste.

— Mama ciągle upiera się przy tych zwyczajach.

Pani Michalina spojrzała ostro na córkę.

— Nie wydziwiaj, smarkata — burknęła — tak było od wieków i tak będzie na wieki: jedno miejsce przy wilii dla tego, kto może przyjść.

Jadzia rzuciła trochę niegrzecznie ramionami, zakręciła się na obcasie bucika i wybiegła do jadalni. Razem z siostrą nakryły stół, czym się dało, bo nie było przecież jednolitego serwisu, ale składanka rozmaitych części, które się dokupywało, jak tylko było trochę grosza.

O szóstej przyszedł z miasta Stanisław i udał się do sypialni mówiąc, że ma jeszcze coś do roboty. Zamknął za sobą drzwi, aby nikt mu nie przeszkadzał. Wszyscy myśleli, że są to zwykłe przedgwiazdkowe przygotowania tajemniczych paczek z podarunkami. Ale to nie było to. Zieliński siadł przy niewielkim stoliku, który wówczas zastępował mu biurko, zakrył rękoma twarz i opuścił głowę na deski. Gdyby kto go był widział w tym ruchu, od razu zrozumiałby, że tego człowieka przygniata wielki ciężar niepokoju.

O siódmej przyszedł poseł z kuchni. Pani Michalina przysłała Zbyszka, aby powiedzieć, że wszystko gotowe, a gości tylko co nie widać. Pan Stanisław powiedział, żeby kolację trochę opóźnić, ponieważ nie jest jeszcze gotów. Za kwadrans przyszedł drugi poseł, Ania. Wigilia gotowa, goście już przyszli.

— Jeszcze chwilę...

— Ale już widać pierwszą gwiazdę — protestowała Ania.

— Dobrze, przyjdę za kilka minut.

Podszedł do okna. Spojrzał na ulicę, która była pusta i bezludna. Po pięciu minutach ciężkim krokiem poszedł w stronę jadalni, starając się nadać swej twarzy zwykły wyraz pogody i spokoju.

Tu byli już zgromadzeni wszyscy. Rotmistrz Romkowski włożył monokl w oko i starał się udowadniać starej, pięćdziesięcioletniej pannie Szerapowskiej, że ubiera się stanowczo za ciemno i że jasne kolory byłyby jej bardziej do twarzy.

— Ależ, panie rotmistrzu — mówiła dyszkantem stara panna — czyż mam wyglądać, jak jedna z tych angielskich girlasów...

Na bielusieńkim obrusie stało dziewięć nakryć. Dwa z nich były nakryciami tylko na niby. Przy miejscu Janka stał wózek, z którego ten patrzył na otaczających z wielką uwagą, nie rycząc — o dziwo — jak to było w jego zwyczaju. A to drugie nakrycie miało w ogóle pozostać puste, jak mówiła pani Michalina „dla tego, kto mógłby przyjść".

Stanisław witał się powoli z gośćmi, poprawiał choinkę. Zupełnie się nie spieszył a unikał wzroku żony, który go pytał, czy już można zaczynać. Wreszcie nie dało się już dłużej zwlekać. Podszedł więc do głównego miejsca przy stole i zobaczywszy, iż wszyscy stanęli przy swych nakryciach, podniósł rękę do przeżegnania się.

— W Imię Ojca i Syna i Ducha Świętego...

Wówczas w sieni na dole jęknął dzwonek, jak ostre cięcie przez skupione powietrze. Zieliński natychmiast powiedział: „To do mnie" i szybkim krokiem zeszedł na dół. Zebrani nie ruszyli się ze swych miejsc. Tylko panna Zofia Szerapowska siadła i przyłożyła szybko rękę do mocno bijącego serca, oglądając się, czy nie ma gdzie buteleczki z solami trzeźwiącymi.

Po długiej chwili uchylone drzwi rozwarły się szerzej i ukazał się w nich naprzód młody chłopak, a za nim Zieliński. Wysoki i strzelisty, szedł chłopiec w jakimś nawpół wojskowym ubraniu, zapiętym pod szyję, owiniętą starym szalikiem. Pięknie osadzona młodzieńcza głowa skażona była ciemną przepaską, która biegła niemal przez całą prawą połowę twarzy, zasłaniając oko i policzek.

Zieliński stanął na środku pokoju i powiedział:

— Józek wrócił.

Ten już był w objęciach matki. Rotmistrz biegł do kuchni po szklankę wody, bo panna Szerapowska zemdlała. W ogóle nastrój był trochę niesamowity i z powodu samej sytuacji i z powodu tej czarnej przepaski na twarzy. Gdy Józef pochylał się nad rodzeństwem aby się przywitać, każdemu to właśnie przychodziło na myśl, ta przepaska, a nie to, że oto dokonał się cud pustego nakrycia i że ostatnie z rodzeństwa wróciło, śmierci spod noża. I tu okazała się niezwykłość Stanisława. Ani o chwilę dłużej nie przeciągał chwili powitania. Stanął znowu przy swoim miejscu, wziął talerz z wiązką opłatków i podszedł do Michaliny. Coś jej powiedział do ucha, a później przełamał się opłatkiem. Następnie podszedł do przybyłego syna i podał mu opłatek:

— Bogu niech będą dzięki. Powrócił mój syn pierworodny.

A później potoczyło się już wszystko normalnie. Zaczęły się zmieniać potrawy według odwiecznego porządku. Brała udział w ich jedzeniu również panna Zofia, która — jak się okazało — zemdlała tylko do połowy, to znaczy przyszła szybko do przytomności, gdy rotmistrz zbliżył się ze szklanką wody. Z tymi mężczyznami nigdy nic nie wiadomo, myślała szybko panna Zofia w głębi swego zemdlenia, a nuż przyjdzie mu do głowy wylać wodę na nią, aby odpędzić zemdlenie. Sądziła, iż rozsądniej będzie samej wrócić do przytomności. Jadła więc już teraz ze wszystkimi i zaczynała nawet brać udział w powszechnej rozmowie, gdy się zaczynało wyjaśniać, skąd się wziął nagle w Londynie Józef, o którym ostatnie wiadomości z Kraju mówiły, że znajduje się w więzieniu „bezpieki" na Montelupich w Krakowie.

Sprawa była właściwie prosta, choć może bardziej niezwykła od wielu filmów, na które latała z takim zapałem pani Leokadia. Józef był w partyzantce i na rozkaz z Londynu ujawnił się wraz z innymi wkraczającym wojskom sowieckim. Od tego czasu nie puścili go już z więzienia. Wlekli z jednego do drugiego. Przesłuchiwali. Zarzucali różne zbrodnie. Tak było do października tego roku. W połowie października grupę kilkudziesięciu osób zawieziono na dworzec towarowy w Krakowie i załadowano do bydlęcego wagonu, w którym było dwóch strażników z karabinami. Pociąg ruszył na wschód. Pierwszej nocy Józef podsunął się pod drzwi i odciągnął żelazny pręt, który wsadzony był w skobel. Teraz wystarczyło drzwi tylko szybko odsunąć. W pewnej chwili Józef zdecydował się na ten ruch. Ale zbudził strażnika. Za drzwiami wagonu huczała czarna, rozpędzona noc. Józef zawisł na ręce trzymającej poprzeczkę wagonu, aby się w wybranej chwili puścić. Za tę rękę uchwycił sowiecki strażnik. Drugą ujął wyciągnięty przez Józefa ze skobla żelazny pręt i ciął nim przez twarz chłopca. Ale w zamachu osłabił uchwyt lewej ręki. Józef mógł więc rozewrzeć palce i puścić się w noc.

— No, później, to już było proste. Pociąg szedł niezbyt szybko, nic mi się w upadku nie stało. Z pomocą dobrych ludzi, przede wszystkim chłopów, bo od miast trzymałem się z daleka, doszedłem do Gdyni. Tam również z pomocą ludzką dostałem się pod węgiel na statek, idący do Hamburga. W małym porcie przed Hamburgiem skoczyłem do wody i dostałem się na brzeg. Była jeszcze jedna zła chwila — mówił Józef — Niemcy chcieli mnie oddać sowieckiej „komisji repatriacyjnej". No, ale i z tym sobie poradziłem. A z Niemiec, to już wprost — do Londynu.

— Ale jakżeś wiedział? — Jadzia nie wytrzymała ze swymi wątpliwościami.

— Oczywiście, nie wiedziałem. Domyślałem się tylko. Wuj Antoni przesłał mi jeszcze w 46 roku wiadomość do więzienia, że ojciec jedzie do Anglii. Toteż pierwszemu urzędnikowi angielskiemu powiedziałem, że mój ojciec mieszka w Londynie.

— I to był mój tajemniczy telefon o siódmej rano — powiedział Stanisław. — Zawołali mnie do Scotland Yardu i Home Office'u, gdzie wszystko się powoli wyjaśniało, choć do dziś dnia nie wiedziałem, czy targi z „komisją repatriacyjną"

(Dokończenie na str. 8)

PRZYGODA ODYSA



Wit Tarnawski

JAK GDYBY wzywając na spoczynek nocny tabuny rozbieganych fal, ściągało już słońce swe niezliczone, promienne wodze z rozległej płaszczyzny morza, gdy Odyseusa łódź zaryła wreszcie dziobem w piasek nadorzeżny. On sam wyskoczył pierwszy, jako że siedział u czoła. Za nim Euryloch, nieodstępny wypraw towarzysz. Prostując zmęczone wiosłowaniem ręce, uważnie spoglądał w koło.

Miejsce zdawało się dla lądowania i spoczynku doskonałe. Gęsty las nadbrzeżny obiecywał zwierzynę, a strumień spływający opodal ku morzu — wodę słodką, której tak już potrzebowali. Właśnie mówił Odys, że warto znękaną załogę statku choćby na kilka dni na ten brzeg wysadzić, gdy nieznani jacyś ludzie wypadli zza skał nadbrzeżnych i z wyciem pognali ku nim. Grecy dobyli mieczów. Na próżno. Zarzucono na nich sieci, jakimi się chwyta dzikie zwierzęta, spętano i obalono na ziemię.

Nadziei na ratunek nie było. Od okrętu dzieliła ich przestrzeń, jakiej najgłośniejsze wołanie nie mogło przebyć, a zagięcie brzegu zupełnie odcinało widok. Wydobyty z sieci dał się Odys bezopornie wiązać.

Dziwił go nadzwyczajny pośpiech napadu. Zbóje zdawali się obawiać ucieczki jeńców lub odbicia. Świstały niemal w powietrzu owijane w koło rąk i nóg rzemienie. Lecz mimo pośpiechu wiązano ich nad podziw dokładnie i mocno. Wreszcie, spętanych co się zowie, przytroczono grzbietami do grzbietów koni, które czekały w cieniu skał.

Nie zwlekając, ruszyli. Stępa a najwyżej kłusa, póki przez las. Było to mimo strasznego przytroczenia jeszcze znośne i pozwalało wreszcie Odysowi spokojnie rozejrzeć się w położeniu. Napastnicy otaczali ich ciasnym stłoczonym kręgiem, niby grubą pętlą, która ciągnie spętanego zwierza. Ciągłym pokrzykiem, potrząsaniem dzid i nożów zdawali się straszyć swych jeńców bezsilnych. Rozdymane wiatrem, białe płaszcze upodabniały ich do jakiegoś ptactwa pustyni.

Odys, zamknąwszy oczy, myślał. Przywołał do swej starej głowy wszystkie wiadomości, jakie o mieszkańcach afrykańskiego brzegu podczas długiego życia pozbierał. Przypuszczał, że ma do czynienia z jakimś szczepem Numidów, o których opowiadają Fenicjanie, zwiedzający dla handlu te brzegi. Sądził, że w każdym razie zdoła się z napastnikami, o ile sposobność pozwoli, językiem tychże Fenicjan porozumieć.

Wtem poleciała w straszliwy taniec jego głowa. Niby mieczem zębatym a tępym wpił się w nią koński grzbiet. Pomieszała się i prysła od ciosów cierpienia myśl wszelka. To las się skończył, a konie poszły w skok.

Z zaciśniętymi zębami i oczyma czekał Odys kresu męki — na próżno. Twardy, hartowany w tylu próbach losu duch po raz pierwszy począł wymykać się woli: ślepy i bezsensowny jęk darł się z ust, przytomność jawiła się to nikła. Gdzież był koniec tej przeklętej drodze?

Potężny, tysiącgłośny krzyk przerwał wszystko, jak zmorę okropną. Konie stanęły. Odys otworzył oczy. Był mrok. Morze głów z otwartymi ustami wokoło. Nad nim w radosnym szaleństwie wirowały niezliczone ręce. Jakiś wysoki mężczyzna z pióropuszem i złotą obręczą u czoła słuchał krzykliwego opowiadania jeźdźców. Inny — starzec o małych, bystrych oczach wszedł między konie i przypatrywał się z trwożną ciekawością związanym. Gdy, wysunąwszy rękę, dotknął ostrożnie jego włosów, Odys po fenicku spytał:

— Ktoś ty jest?

— Wielki czarownik Marowassa — odparł starzec w tym samym języku i cofnął szybko rękę.

— Wielki Marowasso, każ zdjąć nam te przeklęte więzy, a będę błagał bogów o łaskę dla ciebie po koniec dni moich.

— Ehej! — roześmiał się starzec. — Wy myślicie, że Marowassa głupi, ale Marowassa wcale nie głupi. Zdejmuj sam.

— Plugawe bydlę — zaklął po grecku już Odys i odwrócił głowę. Właśnie podchodził od drugiej strony ów wielki chłop w pióropuszu, widać ciekawy co mówią. Poszwargotał ze starcem i naraz kilku przyłożeniami noża porozcinał jeńcom pęta, zostawiając jeno dłonie i nogi pojedyńczo związane.

— Marowassa się boi a ja się was wcale nie boję — powiedział wesoło i odszedł w tłum.

Rozprężając się w niespodziewanej swobodzie pytał Odys starca:

— Co chcecie z nami uczynić?

— Wiesz dobrze: spalić.

— Słuchaj: jeśli nam jeden włos z głowy spadnie, przyjdą tu ludzie z moich okrętów i zabiją was wszystkich.

— Kłamiesz! Nie macie ani ludzi, ani okrętów. Wy jesteście złymi duchami morza.

Równocześnie na dany przez owego z pióropuszem znak przyskoczyło kilkunastu zbrojnych. Porwawszy Eurylocha i Odysa nieśli wśród radosnego wycia zdobyczny ten ciężar przez tłum. Porzucili go w niskiej, ciemnej chacie i zaparli odchodząc drzwi.

II.

ODYS ocknął się z kamiennego snu, świadom czyjejś obecności w pobliżu. Suty księżyc zaglądał przez otwór w ścianie. Biała postać jaśniała w jego świetle.

— Kto? — zakrzyknął.

— Ciszej! — rozległ się znany szept i starzec Marowassa nachylił się nad nim.

— Po coś przyszedł?

— Ciszej. Chcę wam coś rzec. Nie powinien nikt słyszeć.

— Dobrze. Mów.

— Dlaczego nie uciekacie?

— Powiedziałem ci już raz: zdejm więzy.

— Po cóż? Wy możecie przecież wszystko. To tylko oni: Uel-Torok i reszta — głupcy, myślą, że dla was ludzkie pęto coś znaczy. Ja nie ślepe szczenię. Prawdę znam.

— Sameś głupiec! — rozsierdził się Odys. — Alboś łotr i kpiarz, jakiegom jeszcze w życiu nie spotkał. Cóż to? Wszechmoc moją mi sławisz, widząc przecież, że leżę jak kłoda lub baran ofiarny, któremu dziecko bezkarnie może grdykę rozrzezać. Wolejbym chyba z ludźmi moimi gasił już krwią waszą pożary waszych chat, niźli tu z tobą piękne słówka mieniał! Każesz mi duchów morskich druhem być, gdym jest zwykły sobie Grek, Itaki król, spod Troi rycerz Odys. Zatoki dogodnej do lądowania dla mego okrętu szukałem wzdłuż brzegów — i tyle. Czyliś słyszał kiedy, stary brodaczu, o duchach łodzią na głębi od utonięcia się chroniących? Czyś nigdy nie oglądał w swym długim, nie wiedzieć po co, życiu, fenickiego kupca?

— Powiedział wielki Aptoukos: — śmiał się wiedząco starzec — „Przybiorą tysiąc postaci, upodobnią się kolejno do wszystkich istot ziemi — lecz wy się nie dacie omamić. Ktokolwiek by podczas pełni, przy zachodzącym słońcu, które jest mną, ukazał się na srebrnej zatoce — oni będą."

— Zaprawdę mądry ci jest ten twój Aptoukos! Czy kazał wam wychwytać także wszystkie ptaki, ryby i pnie drzewne, które się zabłąkają do tej przeklętej zatoki? Czy to nawet — oni będą?

W ciemności zaświeciły gniewnie oczy starca.

— Nie bluźnij panu twemu — rzekł.

— Dobryś, wielki Marowasso! Jakoż mi oddawać cześć komuś o kim nie wiem co zacz, czego od nas chce i skąd uzyskał to panowanie nad nami? Zanurzyliście nas po uszy w śmierdzącym bagnie głupoty waszej, której ani przeniknąć, ani zmierzyć nie podobna. Przyjdzie je nam chyba zgruntować już i zdechnąć na dnie.

— Przestań. Próżno mgłę chcesz rzucić na stare oczy moje. Słów szkoda. Dla tamtych, dla trzody Uel-Toroka dobre wszystkie twe wykręty i kłamstwa. Im opowiadaj, że cię nie było między duchami morza, kiedy na rozkaz Aptoukosa falą i ogniem lud mój w strasznym dniu kary tępiły. Uel-Toroka pouczaj, że to nie was miał na myśli Aptoukos-Słońce, gdy w radosne święto pojednania przestrzegał przed złymi duchami morza, których, raz rozpętawszy, uspokoić już nie zdolen, a które każdej pełni, o wieczorze, z głębiny wodnej wychynąwszy, na życie i mienie wasze dybać będą. Uel-Torok uwierzy. Gdybyście zaś jeszcze uderzyli w prośbę korną, to może was nawet zwolnić zechce, jako już z niejednym brańcem uczynił, bo prośbą i kłamstwy dokonasz wszystkiego z tym lekkomyślnym chłopcem w postaci męża.

— Czy mówisz o tym wojowniku, co więzy nasze porozcinał? — przerwał mu Odys.

— Aha, podobało ci się? Tak, to był Uel-Torok, wódz. Ale mimo iż wodzem jest, nic by wam z głupiej łaski jego. Wasz los w moim spoczywa ręku. Mnie jedynie — Aptoukosowej woli prawego stróża, słucha w tej sprawie lud. A mnie nigdy, duchu złoczynny, omamić nie zdołasz. Choć mądry jesteś. Mądry i odważny, skoro lekceważąc straż naszą, strzegącą wrót srebrnej zatoki, gdzie wam siedzibę Pan wyznaczył, ani pomnąc na trzykrotną już śmierć braci w płomieniach stosu, zuchwale kroczyłeś po łup. Oto na co ci się twa odwaga zdała — dokończył śmiechem, targając Odysowe więzy.

Odys milczał. Po chwili rzekł wesoło własną mową: — Euryloch, wrócimy do domu! — Milczał znowu. Następnie spocząwszy oczyma na znaczącej się w mroku twarzy starca, zapytał:

— Dlaczegośmy dotychczas nie uciekli? Powiedz, jeśli wiesz wszystko.

— Powiem — uśmiechnął się

chytrze Numida. — Dlategom tu przecie przyszedł, iż poznałem jako jest. Wy nie możecie uciec. Aptoukos wam zabronił, albo czar siły rzucił na wasze pęta. Próżno byście usiłowali je zrywać. Aptoukos jest dobry. Kocha swój lud i nie pozwoli, by powtórnie spłonęły chaty jego a olbrzymie fale, gnane przez was od morza, zalały pola, które mu żywność niosą.

— Dosyć. Po coś przyszedł?

— Umrzecie na stosie.

— Wiem o tym. Spłonęli, jako rzekłeś, trzykroć poprzednicy nasi. Nie strach i nam.

Starzec przybliżył twarz i ściszył głos zupełnie, mówiąc:

— Chcę was ocalić.

Z ust Odysa i Eurylocha buchnął równocześnie stłumiony wykrzyk:

— Jak?

Ale już w krok za nim płynęły obojętne słowa pierwszego:

— Cóż ci to za korzyść z ocalenia?

Starzec skłonił się jeszcze niżej, gorącym oddechem twarzy Odysowej sięgając.

— Taką jest wola Aptoukosa — mówił ważkim szeptem. — Przyszedł do mnie podczas snu nocy wczorajszej. Rozkazał: „Przebrana już miara. Złym wodzem ludu mojego jest Uel-Torok. Młody i niedoświadczony sam rządzić chce a głupio, twoimi, sługi mego, radami pomiatując. Lud mi w bojach niepotrzebnych wytraca, zaś zwyciężonym nieprzyjaciołom popuszcza. Innego wam trzeba wodza. Starej głowy, mądrej ręki. Bacz tedy pilnie na sprawy stać się mające i za wczasu ster ich bierz w swe dłonie, one bowiem pióropuszem władzy ozdobią czoło godne." Rzekł i odszedł dając mi wiedzę czynienia. Oto ja ocalę was. Powiem ludowi, iż się omylił srodze, bo z was nie duchy złe, ale święte Aptoukosa posłańce, ład i sprawiedliwość między nami mające czynić. Mnie lud uwierzy. A gdy zgromadzą się wszyscy, by wyroki wasze posłyszeć, ogłosicie, że tylko śmierć Uel-Toroka i oddanie władzy w moje ręce przyniesie im dobro i spokój, karę zaś i gniew Aptoukosa — wszelki sprzeciw przeciw temu zakazowi. To powiecie, jeśli wam wolność miła i rozkaz boży mnie nocą objawiony święty. Albo stos.

Starzec zamilkł i oczekiwał nachylony, rzekłbyś dla prędszego pochwycenia odpowiedzi. Odys nie odpowiadał. Euryloch niespokojnie na Odysa się oglądał. Trwała drżąca, niepewna cisza, jak kiedy idzie linoskok po sznurze nad boiskiem. Aż rozciął ją gniewny, zdyszany, jakby Odysowe rozstrzygnięcie śpiesznie wyprzedzający potok mowy Eurylocha:

— Trzeba ci się było zdrajco dowiedzieć przódy, z kim gadać będziesz, zanim tu przed nami matnie swoje rozłożyć przyszedłeś. Z libijskimiż to zbójami sprawa czy z Felicjaninem przeniewiercą? Wisieliżeśmy razem z tobą na jednym krzyżu? Dziękczyń po stokroć Aptoukosowi twemu, żem nie przy mieczu, lub bodaj pięści wolnej. Zamknąłbyś już na zawsze tę gębę plugawą! A, przez wszystkie bogi piekielne! Na tożbyśmy cześć naszą rycerską po tylu ziemiach nieskalaną obwieźli, na to w tylu bojach własną posoką obmyli, by ci z niej teraz podnóżek władczy uczynić! I to dla kogo, dla kogo? Dla tchórza, bo sądzisz, żeśmy się śmierci ulękli; dla głupca i łgarza — zdawało ci się, że ktoś w twe bajania o śnie proroczym uwierzy; dla zdrajcy. Władzyć trzeba? Krzyżaś oto wart i to z bylejakiego drzewa, nie władzy. No — szkoda słów. Zapamiętaj sobie tylko po raz wtóry, byś nie opowiadał jeńcom, jako zwykł Uel-Torok względem jeńców postępować, bo nawet z tobie podobnym sprawę pokpisz. Tfu!

— Marowasso — odezwał się wreszcie Odys. — Co wyrzekł mój towarzysz, zapomnij. Jam tu wodzem i wolę Aptoukosową wypełnię. Jutro przed ludem władcą wszechmocnym ciebie ogłoszę. Lecz powiedz: czy zrozumie lud fenicką mowę moją?

— Chytryś ty duchu: jakby ci to jaka mowa obcą była. Ale i tak się nie troskaj, bywalców u nas wielu. Zrozumieją i innym powiedzą.

— Panie, panie, na toż nam przyszło? — rzucił się Euryloch.

— Szkoda twoich słów, stary towarzyszu. Powiedziałem już: ja tu głowa.

III.

Potężny grzmot rogów leciał w cztery strony świata. Wychodzili. Przodem trębacze i co najprzedniejsi rycerze w stroju bojowym krzycząc. Nieco przed Odysem Uel-Torok twarzą uroczysty, ale po swojemu wartki w ruchach. Po Eurylochowej stronie Marowassa. Od tyłów zaś napierał nieustanny hałas pośpolitszej starszyzny, wylewającej się wciąż jeszcze z domostw wodza.

Wszystko było już załatwione i pewne, więc w ruchliwym świetle pochodni oglądał sobie teraz Odys tych dwu, co wodze swych losów dłoniom jego, spętanym jeszcze przed chwilą, dobrowolnie oddali. Cieszyć się musiało ludzką głupotą serce starego wygi, gdy tak ich sobie oglądał. Kroczyli oto przy nim, jednako oczekiwania pełni, ale nie ku jednakiej doli.

— Wysłańcze boży, czy tam na polu zgromadzeń, gdy będziesz nam wyroki Aptoukosowe ogłaszał, powiesz też, jaki los mię w wyprawie na czarny lud pustyni czeka? — wybuchnął Uel-Torok na próżno usiłujący w więzach nabożnego milczenia wytrzymać. — No powiedz, powiedz czy zwyciężę?

— Marowasso, sługo boży, ty któremu sam Aptoukos w snach przyszłość obwieszcza, czemu nie wyłożysz przyszłości wodzowi waszemu? — zaśmiał się łaskawie Odys zwrócony ku wieszczkowi.

— Na wyprawie nie zginiesz, wodzu — rzekł tamten.

Euryloch na głowicy miecza dłoń twardo położył. Odys spokojnie nakrył ją swoją dłonią. Uel-Torok coś mówił jeszcze, ale słowa straciły się, zniesione przez potok wrzawy. Podniecenie, krzyki i pośpiech pochodu rosły z każdym krokiem co zbliżał do pola zgromadzeń — nie podobna już było rozmawiać. Płomienie pochodni wydłużały się od pędu powietrza, jak proporce. Aż nagle wrzask potężniejszy nad wszystko dotąd uderzył śpieszących w pierś i zatrzymał. To cały lud, na polu już zebrany, witał starszyznę i świętych mężów.

Nie głupi, widziało się, był stary Marowassa i nie próżno tłum ten grzmotem świętego bębna w głębokiej nocy pobudził. Pochwalił Odys oczyma dzieło wieszczka. Ze snu jeszcze nie trzeźwi, oczekiwaniem i bliskością niepojętego rozgorączkowani, ludzie ci zacząłiby na głowach tańczyć na jedno słowo rozkazu. Poruszali się oto już wszyscy w bezładnym tanie, w rytm głuchego dudnienia tamburynów i przy klekotaniu niezliczonych kołatek. Dzikie upojenie, szał świąt i objat, już odurzyły ich. Nie oparli się temu i przybysze. Podrygiwać, przytupywać i z tłumem się mieszać poczęła dostojna starszyzna. Wkrótce było ich tam już czterech tylko pośrodku, a dokoła sunął stłoczony krąg taneczny powoli, w poważnym szaleństwie. Ale oto na Odysa skinienie podniósł Uel-Torok ramię potężne i zadął w róg bojowy. Tłum zakołysał się raz jeszcze i drugi i stanął, jak wryty. Ponad gasnący pogłos tamburynów wzbił się grzmot rogów, w ślad za rogiem wodza, i sam z kolei zamilkł, oczyściwszy z wszelkiego głosu powietrze. Odys miał przemówić.

Jakiś rozkaz Uel-Toroka poleciał jeszcze w nagle powstałą ciszę. I wnet wszystkie pochodnie rozrzucone po polu zbiegły się ku niemu niecąc wokół Odysa złoty dzień, gdy tłum pozostał w niespokojnych mrokach.

— Ludu! — Zagrzmiał Odysów głos bojowy, aż chybnęły się pochodnie od zadrżenia rąk. — Aptoukosa gniew jest nad tobą. Posłańców jego świętych nie poznaliście, na posłańców świętych podnieśliście rękę bezbożną. Cóż to zmamiło was, czemu ślepe stały się oczy wasze? Czy pojmujecie? Oto zło jest wśród was, Aptoukosa wróg jest wśród was, co gniew jego święty na wszystkich ściąga. I jeżeli jeszcze dłużejby pozostawał — Bóg was wszystkich pospołu wytraci, jego ściągając. Ale Aptoukos pamięta dobre służby ludu swego i nie chciałby ażeby cierpiał on za winę cudzą. Przeto wyprawił nas, posłańce swoje, na sąd, na wyczyszczenie wszetecznego trądu. A taki jest jego łaskawy dla was rozkaz: własna ma ręka zdrajcę spośród was wyszukać i własny mój miecz go pobije. Niechże więc staną wszyscy znamienitsi męże, wszyscy wodzowie wasi przede mną, albowiem wśród najwyższych złoczyńcy szukać mi trzeba. Niech staną na zasięg miecza i niech drży, kto zawinił.

Uczynił się trwożny gwar wśród nocy — to bywalcy, co rozumieli fenicką mowę Odysa, podawali ją innym. Odys zaś zbywszy groźnych tonów z głosu, Marowassie tak dokończenia dzieła radził:

— Przyjacielu, swoje rzekłem, teraz na ciebie kolej. Widzisz, że lud ze zrozumieniem się biedzi, trzeba więc byś mu słowa moje objaśnił. Godzi się przecież, iżbyś własnego starania do tej sprawy przyłożył, nie prawdaż?

Nie potrzeba było Marowassie dwa razy powtarzać. Nad strwożoną gromadą wzbiła się znów groźba Odysowa, bodaj czy nie straszniejsza jeszcze w tym wieszczka oddaniu. Nie szczędził w każdym razie starzec ani głosu ani rąk, ani nawet brody w grozie i w gniewie targanej.

Rozwścieczony ryk tłumu zalał ostatnie słowa jego przemowy. Jak daleko sięgał blask pochodni, wszędzie twarze złe, twarze obłąkane. Mrok w głębi pełen był błysków od potrząsanej mściwie broni.

— Czego krzyczą? — spytał Odys.

— Żądają, żebyś go zabił — dyszał zmęczony mową Marowassa.

— Niech już wychodzą wodzowie.

Wsparłszy się na dobytym mieczu Odys czekał. Występowali z tłumu jeden po drugim i podchodzili, bledsi niżeli blady dzień, który się właśnie pojawiał.

Na wschodzie stanęło słońce szybko, niemal bez jutrzenki, jak w kadłub nocy sztychem zdradzieckim pchnięty puginał. W ostrym jego świetle cienie zgromadzonych mężów u stóp Odysa się pokładły.

— Czy są już wszyscy?

— Wszyscy.

Było ich dziewięciu. Tuż przy Uel-Toroku Marowassa, żądzy drapieżnej strzymać już nie mogący, zdawał się oczyma wskazywać drogę ciosowi miecza.

Odys w Uel-Toroka śmiałe oczy spojrzał. Podniósł miecz. Plugawego serca Marowassy jednym pchnięciem z ramienia sięgnął.

PUSTE NAKRYCIE

(Dokończenie ze str. 7)

nie skończą się odesłaniem Józefa do Polski. Powiedziałem Anglikom, że chciałbym mieć syna jako podarek na gwiazdkę. Kwaśny głos urzędnika odpowiedział, że takie sprawy trwają miesiące. Ale jeszcze kwaśniejszym głosem dodał, że zobaczy, co się da zrobić. Na odchodnym ni z tego ni z owego, krzywiąc twarz jakby miał fluksę, mruknął, że latał z naszymi chłopcami w czasie „Battle of Britain". Oto i cała tajemnica. A w domu nie mówiłem, by nie szarpać wam nerwów.

Płomyk w czerwonej lampce przed Matką Boską Ostrobramską chwiał się od podmuchu tylu głosów i takiej radości, a misterium polskiej wigilijnej wieczerzy szło dalej. Były podarki, później bakalie, później nowe opowiadania, po opowiadaniach kolędy, a potem i znowu opowiadania i znowu kolędy, aż się zrobiła dwunasta i panna Szerapowska podniosła krzyk, że uciekł jej ostatni tub i że co ona teraz zrobi. Rotmistrz Romkowski zaofiarował się odwieźć taksówką do domu. Ale panna Zofia odparła, że to nie wypada po nocy jechać sama z mężczyzną. Więc wkroczyła pani Michalina, która zarządziła posłanie pannie Szerapowskiej w jadalni. Zbyszek będzie spał na podłodze w kuchni, a Józek zajmie pokój Zbyszka.

Powoli kończył się ten niezwykły, wigilijny dzień. Na pasterkę nie można było iść z powodu odległości, i złej wówczas nocnej komunikacji, więc cały dom miał iść na Mszę św. dopiero rano. Rozchodzono się do pokojów. Józkowi pokazano, gdzie jest jego lokum.

A gdy się już wszystko uciszyło, do pokoju, w którym miał odtąd mieszkać, cichutko weszła pani Michalina. Siedział na łóżku ze zbolałą twarzą. Jakby mu dziesiątki lat przybyło, obarczonych ciężkim kamieniem troski. Siadła koło niego, ogarnęła ramieniem i powiedziała głosem z dawnych lat:

— Synaczku, co ci to? — Matczyna ręka gładziła włosy pierworodnego, którego pierś pracowała szybko a z trudem, jakby się w niej mieliły nie wiadomo jakie troski.

A gdy nie odpowiadał, powiedziała tym głosem, który każdy człowiek ma tylko jeden na świecie:

— Matce nie powiesz?

Wówczas on ruchem bardzo wolnym poprowadził rękę do twarzy i odwiązał przepaskę. Oczy matczyne ujrzały na twarzy syna czerwoną pręgę, idącą przez cały prawy policzek kończącą się na czole wklęsłością w kości co dopiero zaciągniętej blizną zdartej skóry.

— To od uderzenia strażnika? — zapytała.

— Ledwo oko nie poszło. Do Gdyni szedłem jednym tylko okiem. Drugie było zapuchnięte.

— Ale widzisz nie poszło — pogładziła go znów po włosach.

— Tylko, że... — zaczął, lecz nie skończył, ponieważ z sąsiedniego pokoju podniósł się nagle wysoki staropanieński dyszkant pieśnią tego wieczoru:

„Chwała, chwała, chwała na wysokości,
A na ziemi pokój ludziom dobrej woli."

Wówczas kamienne troski z wnętrza młodzieńczej piersi musiały przesunąć się w oczy, bo trysnął z nich gwałtowny, urywany płacz. A poprzez ten szloch Józef Zieliński, partyzant i nieletni bohater wielkiej polskiej wojny wyzwoleńczej, który przed tyloma inkwizytorami i wśród tylu tortur miał usta zamknięte jak grób, teraz skarżył się w prawie dziecinny sposób:

— Tylko, czy mi ta krwawa pręga z twarzy zejdzie?

A pani Michalina ujmuje tego dryblasa jeszcze ciaśniej w objęcia i mówi głosem sprzed wielu, wielu lat:

— Cichaj, synaczku, cichaj. Zejdzie pręga, zejdzie... Nasmarujemy borsuczym sadłem...

Józef Kisielewski

O CZŁOWIEKU, KTÓRY PODWOIŁ SWE ŻYCIE

Ludwik Solski – fenomen teatru polskiego

Co roku, mniej więcej w połowie listopada, redaktor „Gazety" zaczyna patrzeć na niektórych dalszych współpracowników łaskawszym okiem. Pewnego dnia zatrzymuje, prosi siadać, zaczyna gawędzić, proponuje kawę, częstuje papierosem i po pewnym czasie pada pytanie:

— A nie napisałby tak kolega czegoś do numeru świątecznego?

— Napisałbym, ale widzi pan, na jaki temat?...

— No przecież chyba koleeedze to już tematu nigdy nie braknie — śmieje się redaktor i skwapliwie dodaje: — ale to musi coś być lekkiego, gawędziarskiego, aby się łatwo czytało, nie żaden „ugniot"...

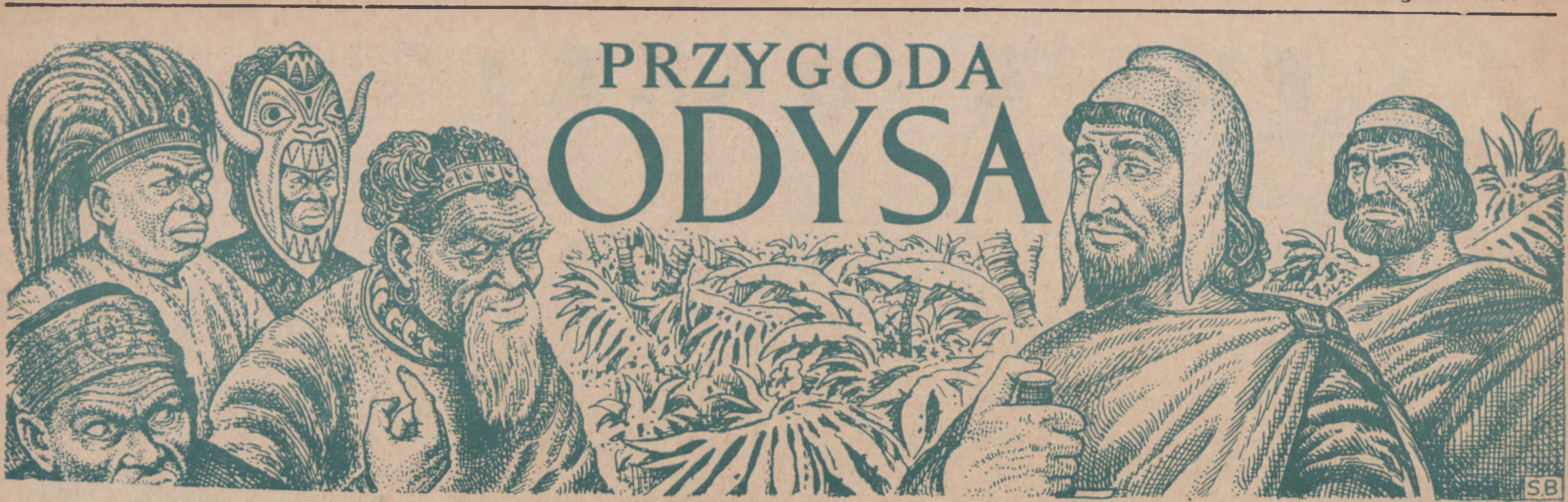
(Dokończenie na str. 10)



Ludwik Solski jako: Wiarus w „Warszawiance", Fryderyk Wielki, Judasz i Filip II w „Don Carlosie".

(Klisza „Słowa Polskiego" — Paryż.)

PRZYGODA ODYSA



Wit Tarnawski

JAK GDYBY wzywając na spoczynek nocny tabuny rozbieganych fal, ściągało już słońce swe niezliczone, promienne wodze z rozległej płaszczyzny morza, gdy Odyseusa łódź zaryła wreszcie dziobem w piasek nadorzeżny. On sam wyskoczył pierwszy, jako że siedział u czoła. Za nim Euryloch, nieodstępny wypraw towarzysz. Prostując zmęczone wiosłowaniem ręce, uważnie spoglądał w koło.

Miejsce zdawało się dla lądowania i spoczynku doskonałe. Gęsty las nadbrzeżny obiecywał zwierzynę, a strumień spływający opodal ku morzu — wodę słodką, której tak już potrzebowali. Właśnie mówił Odys, że warto znękaną załogę statku choćby na kilka dni na ten brzeg wysadzić, gdy nieznani jacyś ludzie wypadli zza skał nadbrzeżnych i z wyciem pognali ku nim. Grecy dobyli mieczów. Na próżno. Zarzucono na nich sieci, jakimi się chwyta dzikie zwierzęta, spętano i obalono na ziemię.

Nadziei na ratunek nie było. Od okrętu dzieliła ich przestrzeń, jakiej najgłośniejsze wołanie nie mogło przebyć, a zagięcie brzegu zupełnie odcinało widok. Wydobyty z sieci dał się Odys bezopornie wiązać.

Dziwił go nadzwyczajny pośpiech napadu. Zbóje zdawali się obawiać ucieczki jeńców lub odbicia. Świstały niemal w powietrzu owijane w koło rąk i nóg rzemienie. Lecz mimo pośpiechu wiązano ich nad podziw dokładnie i mocno. Wreszcie, spętanych co się zowie, przytroczono grzbietami do grzbietów koni, które czekały w cieniu skał.

Nie zwlekając, ruszyli. Stępa a najwyżej kłusa, póki przez las. Było to mimo strasznego przytroczenia jeszcze znośne i pozwalało wreszcie Odysowi spokojnie rozejrzeć się w położeniu. Napastnicy otaczali ich ciasnym stłoczonym kręgiem, niby grubą pętlą, która ciągnie spętanego zwierza. Ciągłym pokrzykiem, potrząsaniem dzid i nożów zdawali się straszyć swych jeńców bezsilnych. Rozdymane wiatrem, białe płaszcze upodabniały ich do jakiegoś złego ptactwa pustyni.

Odys, zamknąwszy oczy, myślał. Przywołał do swej starej głowy wszystkie wiadomości, jakie o mieszkańcach afrykańskiego brzegu podczas długiego życia pozbierał. Przypuszczał, że ma do czynienia z jakimś szczepem Numidów, o których opowiadają Fenicjanie, zwiedzający dla handlu te brzegi. Sądził, że w każdym razie zdoła się z napastnikami, o ile sposobność pozwoli, językiem tychże Fenicjan porozumieć.

Wtem poleciała w straszliwy taniec jego głowa. Niby miecz zębaty a tępy wpił się weń koński grzbiet. Pomieszała się i prysła od ciosów cierpienia myśl wszelka. To las się skończył, a konie poszły w skok.

Z zaciśniętymi zębami i oczyma czekał Odys kresu męki — na próżno. Twardy, hartowany w tylu próbach losu duch po raz pierwszy począł wymykać się woli: ślepy i bezsensowny jęk darł się z ust, przytomność jawiła się to nikła. Gdzież był koniec tej przeklętej drodze?

Potężny, tysiącgłośny krzyk przerwał wszystko, jak zmorę okropną. Konie stanęły. Odys otworzył oczy. Był mrok. Morze głów z otwartymi ustami wokoło. Nad nim w radosnym szaleństwie wirowały niezliczone ręce. Jakiś wysoki mężczyzna z pióropuszem i złotą obręczą u czoła słuchał krzykliwego opowiadania jeźdźców. Inny — starzec o małych, bystrych oczach wszedł między konie i przypatrywał się z trwożną ciekawością związanym. Gdy, wysunąwszy rękę, dotknął ostrożnie jego włosów, Odys po fenicku spytał:

— Ktoś ty jest?

— Wielki czarownik Marowassa — odparł starzec w tym samym języku i cofnął szybko rękę.

— Wielki Marowasso, każ zdjąć nam te przeklęte więzy, a będę błagał bogów o łaskę dla ciebie po koniec dni moich.

— Ehej! — roześmiał się starzec. — Wy myślicie, że Marowassa głupi, ale Marowassa wcale nie głupi. Zdejmuj sam.

— Plugawe bydlę — zaklął po grecku już Odys i odwrócił głowę. Właśnie podchodził od drugiej strony ów wielki chłop w pióropuszu, widać ciekawy co mówią. Poszwargotał ze starcem i naraz kilku przyłożeniami noża porozcinał jeńcom pęta, zostawiając jeno dłonie i nogi pojedyńczo związane.

— Marowassa się boi a ja się was wcale nie boję — powiedział wesoło i odszedł w tłum.

Rozprężając się w niespodziewanej swobodzie pytał Odys starca:

— Co chcecie z nami uczynić?

— Wiesz dobrze: spalić.

— Słuchaj: jeśli nam jeden włos z głowy spadnie, przyjdą tu ludzie z moich okrętów i zabiją was wszystkich.

— Kłamiesz! Nie macie ani ludzi, ani okrętów. Wy jesteście złymi duchami morza.

Równocześnie na dany przez owego z pióropuszem znak przyskoczyło kilkunastu zbrojnych. Porwawszy Eurylocha i Odysa nieśli wśród radosnego wycia zdobyczny ten ciężar przez tłum. Porzucili go w niskiej, ciemnej chacie i zaparli odchodząc drzwi.

II.

ODYS ocknął się z kamiennego snu, świadom czyjejś obecności w pobliżu. Suty księżyc zaglądał przez otwór w ścianie. Biała postać jaśniała w jego świetle.

— Kto? — zakrzyknął.

— Ciszej! — rozległ się znany szept i starzec Marowassa nachylił się nad nim.

— Po coś przyszedł?

— Ciszej. Chcę wam coś rzec. Nie powinien nikt słyszeć.

— Dobrze. Mów.

— Dlaczego nie uciekacie?

— Powiedziałem ci już raz: zdejm więzy.

— Po cóż? Wy możecie przecież wszystko. To tylko oni: Uel-Torok i reszta — głupcy, myślą, że dla was ludzkie pęto coś znaczy. Ja nie ślepe szczenię. Prawdę znam.

— Sameś głupiec! — rozsierdził się Odys. — Alboś łotr i kpiarz, jakiegom jeszcze w życiu nie spotkał. Cóż to? Wszechmoc moją mi sławisz, widząc przecież, że leżę jak kłoda lub baran ofiarny, któremu dziecko bezkarnie może grdykę rozrzezać. Wolejbym chyba z ludźmi moimi gasił już krwią waszą pożary waszych chat, niźli tu z tobą piękne słówka mieniał! Każesz mi duchów morskich druhem być, gdym jest zwykły sobie Grek, Itaki król, spod Troi rycerz Odys. Zatoki dogodnej do lądowania dla mego okrętu szukałem wzdłuż brzegów — i tyle. Czyliś słyszał kiedy, stary brodaczu, o duchach łodzią na głębi od utonięcia się chroniących? Czyś nigdy nie oglądał w swym długim, nie wiedzieć po co, życiu, fenickiego kupca?

— Powiedział wielki Aptoukos: — śmiał się wiedząco starzec — „Przybiorą tysiąc postaci, upodobnią się kolejno do wszystkich istot ziemi — lecz wy się nie dacie omamić. Ktokolwiek by podczas pełni, przy zachodzącym słońcu, które jest mną, ukazał się na srebrnej zatoce — oni będą.“

— Zaprawdę mądry ci jest ten twój Aptoukos! Czy kazał wam wychwytać także wszystkie ptaki, ryby i pnie drzewne, które się zabłąkają do tej przeklętej zatoki? Czy to nawet — oni będą?

W ciemności zaświeciły gniewnie oczy starca.

— Nie bluźnij panu twemu — rzekł.

— Dobryś, wielki Marowasso! Jakoż mi oddawać cześć komuś o kim nie wiem co zacz, czego od nas chce i skąd uzyskał to panowanie nad nami? Zanurzyliście nas po uszy w śmierdzącym bagnie głupoty waszej, której ani przeniknąć, ani zmierzyć nie podobna. Przyjdzie je nam chyba zgruntować już i zdechnąć na dnie.

— Przestań. Próżno mgłę chcesz rzucić na stare oczy moje. Słów szkoda. Dla tamtych, dla trzody Uel-Toroka dobre wszystkie twe wykręty i kłamstwa. Im opowiadaj, że cię nie było między duchami morza, kiedy na rozkaz Aptoukosa falą i ogniem lud mój w strasznym dniu kary tępiły. Uel-Toroka pouczaj, że to nie was miał na myśli Aptoukos-Słońce, gdy w radosne święto pojednania przestrzegał przed złymi duchami morza, których, raz rozpętawszy, uspokoić już nie zdolen, a które każdej pełni, o wieczorze, z głębiny wodnej wychynąwszy na życie i mienie wasze dybać będą. Uel-Torok uwierzy. Gdybyście zaś jeszcze uderzyli w prośbę korną, to może was nawet zwolnić zechce, jako już z niejednym brańcem uczynił, bo prośbą i kłamstwy dokonasz wszystkiego z tym lekkomyślnym chłopcem w postaci męża.

— Czy mówisz o tym wojowniku, co więzy nasze porozcinał? — przerwał mu Odys.

— Aha, podobało ci się? Tak, to był Uel-Torok, wódz. Ale mimo iż wodzem jest, nic by wam z głupiej łaski jego. Wasz los w moim spoczywa ręku. Mnie jedynie — Aptoukosowej woli prawego stróża, słucha w tej sprawie lud. A mnie nigdy, duchu złoczynny, omamić nie zdołasz. Choć mądry jesteś. Mądry i odważny, skoro lekceważąc straż naszą, strzegącą wrót srebrnej zatoki, gdzie wam siedzibę Pan wyznaczył, ani pomnąc na trzykrotną już śmierć braci w płomieniach stosu, zuchwale kroczyłeś po łup. Oto na co ci się twa odwaga zdała — dokończył śmiechem, targając Odysowe więzy.

Odys milczał. Po chwili rzekł wesoło własną mową: — Euryloch, wrócimy do domu! — Milczał znowu. Następnie spocząwszy oczyma na znaczącej się w mroku twarzy starca, zapytał:

— Dlaczegośmy dotychczas nie uciekli? Powiedz, jeśli wiesz wszystko.

— Powiem — uśmiechnął się

PUSTE NAKRYCIE

(Dokończenie ze str. 7)

nie skończą się odesłaniem Józefa do Polski. Powiedziałem Anglikom, że chciałbym mieć syna jako podarek na gwiazdkę. Kwaśny głos urzędnika odpowiedział, że takie sprawy trwają miesiące. Ale jeszcze kwaśniejszym głosem dodał, że zobaczy, co się da zrobić. Na odchodnym ni z tego ni z owego, krzywiąc twarz jakby miał fluksję, mruknął, że latał z naszymi chłopcami w czasie „Battle of Britain“. Oto i cała tajemnica. A w domu nie mówiłem, by nie szarpać wam nerwów.

Płomyk w czerwonej lampce przed Matką Boską Ostrobramską chwiał się od podmuchu tylu głosów i takiej radości, a misterium polskiej wigilijnej wieczerzy szło dalej. Były podarki, później bakalie, później nowe opowiadania, po opowiadaniach kolędy i znowu opowiadania i znowu kolędy, aż się zrobiła dwunasta i panna Szerapowska podniosła krzyk, że uciekł jej ostatni tiub i że co ona teraz zrobi. Rotmistrz Romkowski zaofiarował się odwieźć ją taksówką do domu. Ale panna Zofia odparła, że to nie wypada po nocy jeździć pannie z mężczyzną. Więc wkroczyła pani Michalina, która zarządziła posłanie pannie Szerapowskiej w jadalni. Zbyszek będzie spał na podłodze w kuchni, a Józek zajmie pokój Zbyszka.

Powoli kończył się ten niezwykły, wigilijny dzień. Na pasterkę nie można było iść z powodu odległości, i złej wówczas nocnej komunikacji, więc cały dom miał iść na Mszę św. dopiero rano. Rozchodzono się do pokojów. Józkowi pokazano, gdzie jest jego lokum.

A gdy się już wszystko uciszyło, do pokoju, w którym miał odtąd mieszkać, cichutko weszła pani Michalina. Siedział na łóżku ze zbolałą twarzą. Jakby mu dziesiątki lat przybyło, obarczonych ciężkim kamieniem troski. Siadła koło niego, ogarnęła ramieniem i powiedziała głosem z dawnych lat:

— Synaczku, co ci to? — Matczyna ręka gładziła włosy pierworodnego, którego pierś pracowała szybko a z trudem, jakby się w niej mieliły nie wiadomo jakie troski.

A gdy nie odpowiadał, powiedziała tym głosem, który każdy człowiek ma tylko jeden na świecie:

— Matce nie powiesz?

Wówczas on ruchem bardzo wolnym poprowadził rękę do twarzy i odwiązał przepaskę. Oczy matczyne ujrzały na twarzy syna czerwoną pręgę, idącą przez cały prawy policzek kończącą się na czole wklęsłością w kości co dopiero zaciągniętej blizną zdartej skóry.

— To od uderzenia strażnika? — zapytała.

— Ledwo oko nie poszło. Do Gdyni szedłem jednym tylko okiem. Drugie było zapuchnięte.

— Ale widzisz nie poszło — pogładziła go znów po włosach.

— Tylko, że... — zaczął, lecz nie skończył, ponieważ z sąsiedniego pokoju podniósł się nagle wysoki staropanieński dyszkant pieśnią tego wieczoru:

„Chwała, chwała, chwała na wysokości,
A na ziemi pokój ludziom dobrej woli.“

Wówczas kamienne troski z wnętrza młodzieńczej piersi musiały przesunąć się w oczy, bo trysnął z nich gwałtowny, urywany płacz. A poprzez ten szloch Józef Zieliński, partyzant i nieletni bohater wielkiej polskiej wojny wyzwoleńczej, który przed tyloma inkwizytorami i wśród tylu tortur miał usta zamknięte jak grób, teraz skarżył się w prawie dziecinny sposób:

— Tylko, czy mi ta krwawa pręga z twarzy zejdzie?

A pani Michalina ujmuje tego dryblasa jeszcze ciaśniej w objęcia i mówi głosem sprzed wielu, wielu lat:

— Cichaj, synaczku, cichaj. Zejdzie pręga, zejdzie... Nasmarujemy borsuczym sadłem...

Józef Kisielewski

chytrze Numida. — Dlategom tu przecie przyszedł, iż poznałem jako jest. Wy nie możecie uciec. Aptoukos wam zabronił, albo czar siły rzucił na wasze pęta. Próżno byście usiłowali je zrywać. Aptoukos jest dobry. Kocha swój lud i nie pozwoli, by powtórnie spłonęły chaty jego a olbrzymie fale, gnane przez was od morza, zalały pola, które mu żywność niosą.

— Dosyć. Po coś przyszedł?

— Umrzecie na stosie.

— Wiem o tym. Spłonęli, jako rzekłeś, trzykroć poprzednicy nasi. Nie strach i nam.

Starzec przybliżył twarz i ściszył głos zupełnie, mówiąc:

— Chcę was ocalić.

Z ust Odysa i Eurylocha buchnął równocześnie stłumiony wykrzyk:

— Jak?

Ale już w krok za nim płynęły obojętne słowa pierwszego:

— Cóż ci to za korzyść z ocalenia?

Starzec skłonił się jeszcze niżej, gorącym oddechem twarzy Odysowej sięgając.

— Taką jest wola Aptoukosa — mówił ważkim szeptem. — Przyszedł do mnie podczas snu nocy wczorajszej. Rozkazał: „Przebrana już miara. Złym wodzem ludu mojego jest Uel-Torok. Młody i niedoświadczony sam rządzić chce a głupio, twoimi, sługi mego, radami pomiatując. Lud mi w bojach niepotrzebnych wytraca, zaś zwyciężonym nieprzyjaciołom popuszcza. Innego wam trzeba wodza. Starej głowy, mądrej ręki. Bacz tedy pilnie na sprawy stać się mające i za wczasu ster ich bierz w swe dłonie, one bowiem pióropuszem władzy ozdobią czoło godne.“ Rzekł i odszedł dając mi wiedzę czynienia. Oto ja ocalę was. Powiem ludowi, iż się omylił srodze, bo z was nic duchy złe, ale święte Aptoukosa posłańce, ład i sprawiedliwość między nami mające czynić. Mnie lud uwierzy. A gdy zgromadzą się wszyscy, by wyroki wasze posłyszeć, ogłosicie, że tylko śmierć Uel-Toroka i oddanie władzy w moje ręce przyniesie im dobro i spokój, karę zaś i gniew Aptoukosa — wszelki sprzeciw przeciw temu zakazowi. To powiecie, jeśli wam wolność miła i rozkaz boży mnie nocą objawiony święty. Albo stos.

Starzec zamilkł i oczekiwał nachylony, rzekłbyś dla prędszego pochwycenia odpowiedzi. Odys nie odpowiadał. Euryloch niespokojnie na Odysa się oglądał. Trwała drżąca, niepewna cisza, jak kiedy idzie linoskok po sznurze nad boiskiem. Aż rozciął ją gniewny, zdyszany, jakby Odysowe rozstrzygnięcie śpiesznie wyprzedzający potok mowy Eurylocha:

— Trzeba ci się było zdrajco dowiedzieć przódy, z kim gadać będziesz, zanim tu przed nami matnie swoje rozłożyć przyszedłeś. Z libijskimiż to zbójami sprawa czy z Felicjaninem przeniewiercą? Wisieliżeśmy razem z tobą na jednym krzyżu? Dziękczyń po stokroć Aptoukosowi twemu, żem nie przy mieczu, lub bodaj pięści wolnej. Zamknąłbyś już na zawsze tę gębę plugawą! A, przez wszystkie bogi piekielne! Na tożbyśmy cześć naszą rycerską po tylu ziemiach nieskalaną obwieźli, na to w tylu bojach własną posoką obmyli, by ci z niej teraz podnóżek władczy uczynić! I to dla kogo, dla kogo? Dla tchórza, bo sądzisz, żeśmy się śmierci ulękli; dla głupca i łgarza — zdawało ci się, że ktoś w twe bajania o śnie proroczym uwierzy; dla zdrajcy. Władzyć trzeba? Krzyżaś oto wart i to z byle jakiego drzewa, nie władzy. No — szkoda słów. Zapamiętaj sobie tylko po raz wtóry, byś nie opowiadał jeńcom, jako zwykł Uel-Torok względem jeńców postępować, bo nawet z tobie podobnym sprawę pokpisz. Tfu!

— Marowasso — odezwał się wreszcie Odys. — Co wyrzekł mój towarzysz, zapomnij. Jam tu wodzem i wolę Aptoukosową wypełnię. Jutro przed ludem władcą wszechmocnym ciebie ogłoszę. Lecz powiedz: czy zrozumie lud fenicką mowę moją?

— Chytryś ty duchu: jakby ci to jaka mowa obcą była. Ale i tak się nie troskaj, bywalców u nas wielu. Zrozumieją i innym powiedzą.

— Panie, panie, na toż nam przyszło? — rzucił się Euryloch.

— Szkoda twoich słów, stary towarzyszu. Powiedziałem już: ja tu głowa.

III.

Potężny grzmot rogów leciał w cztery strony świata. Wychodzili. Przodem trębacze i co najprzedniejsi rycerze w stroju bojowym krzycząc. Nieco przed Odysem Uel-Torok twarzą uroczysty, ale po swojemu wartki w ruchach. Po Eurylochowej stronie Marowassa. Od tyłów zaś napierał nieustanny hałas pośpolitszej starszyzny, wylewającej się wciąż jeszcze z domostw wodza.

Wszystko było już załatwione i pewne, więc w ruchliwym świetle pochodni oglądał sobie teraz Odys tych dwu, co wodze swych losów dłoniom jego, spętanym jeszcze przed chwilą, dobrowolnie oddali. Cieszyć się musiało ludzką głupotą serce starego wygi, gdy tak ich sobie oglądał. Kroczyli oto przy nim, jednako oczekiwania pełni, ale nie ku jednakiej doli.

— Wysłańcze boży, czy tam na polu zgromadzeń, gdy będziesz nam wyroki Aptoukosowe ogłaszał, powiesz też, jaki los mię w wyprawie na czarny lud pustyni czeka? — wybuchnął Uel-Torok na próżno usiłujący w więzach nabożnego milczenia wytrzymać. — No powiedz, powiedz czy zwyciężę?

— Marowasso, sługo boży, ty któremu sam Aptoukos w snach przyszłość obwieszcza, czemu nie wyłożysz przyszłości wodzowi waszemu? — zaśmiał się łaskawie Odys zwrócony ku wieszczkowi.

— Na wyprawie nie zginiesz, wodzu — rzekł tamten.

Euryloch na głowicy miecza dłoń twardo położył. Odys spokojnie nakrył ją swoją dłonią. Uel-Torok coś mówił jeszcze, ale słowa straciły się, zniesione przez potok wrzawy. Podniecenie, krzyki i pośpiech pochodu rosły z każdym krokiem co zbliżał do pola zgromadzeń — nie podobna już było rozmawiać. Płomienie pochodni wydłużały się od pędu powietrza, jak proporce. Aż nagle wrzask potężniejszy nad wszystko dotąd uderzył śpieszących w pierś i zatrzymał. To cały lud, na polu już zebrany, witał starszyznę i świętych mężów.

Nie głupi, widziało się, był stary Marowassa i nie próżno tłum ten grzmotem świętego bębna w głębokiej nocy pobudził. Pochwalił Odys oczyma dzieło wieszczka. Ze snu jeszcze nie trzeźwi, oczekiwaniem i bliskością niepojętego rozgorączkowani, ludzie ci zaczęliby na głowach tańczyć na jedno słowo rozkazu. Poruszali się oto już wszyscy w bezładnym tanie, w rytm głuchego dudnienia tamburynów i przy klekotaniu niezliczonych kołatek. Dzikie upojenie, szał świąt i objat, już odurzyły ich. Nie oparli się temu i przybysze. Podrygiwać, przytupywać i z tłumem się mieszać poczęła dostojna starszyzna. Wkrótce było ich tam już czterech tylko pośrodku, a dokoła sunął stłoczony krąg taneczny powoli, w poważnym szaleństwie. Ale oto na Odysa skinienie podniósł Uel-Torok ramię potężne i zadął w róg bojowy. Tłum zakołysał się raz jeszcze i drugi i stanął, jak wryty. Ponad gasnący pogłos tamburynów wzbił się grzmot rogów, w ślad za rogiem wodza, i sam z kolei zamilkł, oczyściwszy z wszelkiego głosu powietrze. Odys miał przemówić.

Jakiś rozkaz Uel-Toroka poleciał jeszcze w nagle powstałą ciszę. I wnet wszystkie pochodnie rozrzucone po polu zbiegły się ku niemu niecąc wokół Odysa złoty dzień, gdy tłum pozostał w niespokojnych mrokach.

— Ludu! — Zagrzmiał Odysów głos bojowy, aż chybnęły się pochodnie od zadrżenia rąk. — Aptoukosa gniew jest nad tobą. Posłańców jego świętych nie poznaliście, na posłańców świętych podnieśliście rękę bezbożną. Cóż to zmamiło was, czemu ślepe stały się oczy wasze? Czy pojmujecie? Oto zło jest wśród was, Aptoukosa wróg jest wśród was, co gniew jego święty na wszystkich ściąga. I jeżeli jeszcze dłużejby pozostawał — Bóg was wszystkich pospołu wytraci, jego ściągając. Ale Aptoukos pamięta dobre służby ludu swego i nie chciałby ażeby ciemiał on za winę cudzą. Przeto wyprawił nas, posłańce swoje, na sąd, na wyczyszczenie wszetecznego trądu. A taki jest jego łaskawy dla was rozkaz: własna ma ręka zdrajcę spośród was wyszukać i własny mój miecz go pobije. Niechże więc staną wszyscy znamienitsi męże, wszyscy wodzowie wasi przede mną, albowiem wśród najwyższych złoczyńcy szukać mi trzeba. Niech staną na zasięg miecza i niech drży, kto zawinił.

Uczynił się trwożny gwar wśród nocy — to bywalcy, co rozumieli fenicką mowę Odysa, podawali ją innym. Odys zaś zbywszy groźnych tonów z głosu, Marowassie tak dokończenia dzieła radził:

— Przyjacielu, swoje rzekłem, teraz na ciebie kolej. Widzisz, że lud ze zrozumieniem się biedzi, trzeba więc byś mu słowa moje objaśnił. Godzi się przecież, iżbyś własnego starania do tej sprawy przyłożył, nie prawdaż?

Nie potrzeba było Marowassie dwa razy powtarzać. Nad strwożoną gromadą wzbiła się znów groźba Odysowa, bodaj czy nie straszniejsza jeszcze w tym wieszczka oddaniu. Nie szczędził w każdym razie starzec ani głosu ani rąk, ani nawet brody w grozie i w gniewie targanej.

Rozwścieczony ryk tłumu zalał ostatnie słowa jego przemowy. Jak daleko sięgał blask pochodni, wszędzie twarze złe, twarze obłąkane. Mrok w głębi pełen był błysków od potrząsanej mściwie broni.

— Czego krzyczą? — spytał Odys.

— Żądają, żebyś go zabił — dyszał zmęczony mową Marowassa.

— Niech już wychodzą wodzowie.

Wsparłszy się na dobytym mieczu Odys czekał. Występowali z tłumu jeden po drugim i podchodzili, bledsi niżeli blady dzień, który się właśnie pojawiał.

Na wschodzie stanęło słońce szybko, niemal bez jutrzenki, jak w kadłub nocy sztychem zdradzieckim pchnięty puginał. W ostrym jego świetle cienie zgromadzonych mężów u stóp Odysa się pokładły.

— Czy są już wszyscy?

— Wszyscy.

Było ich dziewięciu. Tuż przy Uel-Toroku Marowassa, żądzy drapieżnej strzymać już nie mogący, zdawał się oczyma wskazywać drogę ciosowi miecza.

Odys w Uel-Toroka śmiałe oczy spojrzał. Podniósł miecz. Plugawego serca Marowassy jednym pchnięciem z ramienia sięgnął.

O CZŁOWIEKU, KTÓRY PODWOIŁ SWE ŻYCIE

Ludwik Solski — fenomen teatru polskiego

Co roku, mniej więcej w połowie listopada, redaktor „Gazety“ zaczyna patrzeć na niektórych dalszych współpracowników łaskawszym okiem. Pewnego dnia zatrzymuje, prosi siadać, zaczyna gawędzić, proponuje kawę, częstuje papierosem i po pewnym czasie pada pytanie:

— A nie napisałby tak kolega czegoś do numeru świątecznego?

— Napisałbym, ale widzi pan, na jaki temat?...

— No przecież chyba koleeedze to już tematu nigdy nie braknie — śmieje się redaktor i skwapliwie dodaje: — ale to musi coś być lekkiego, gawędziarskiego, aby się łatwo czytało, nie żaden „ugniot“...

(Dokończenie na str. 10)



Ludwik Solski jako: Wiarus w „Warszawiance“, Fryderyk Wielki, Judasz i Filip II w „Don Carlosie“.

(Klisza „Słowa Polskiego“ — Paryż.)

O CZŁOWIEKU, KTÓRY PODWOIŁ SWE ŻYCIE

— Baaa...

— ...coś bardzo swojskiego i przede wszystkim musi to być pogodne, optymistyczne, bo ludzie na święta chcą nastroju, rozumie kolega... i żeby to było na pierwsze dni grudnia.

— Rozumiem, dziękuję więc za kawę i idę na poszukiwanie tematu. Hm, a może by tak coś o polskim teatrze O tym prawdziwym i wielkim.

—◆—

JAKIE wspomnienie z polskiego teatru utkwiło mi najgłębiej w pamięci jako najsilniejsze wrażenie? Szukam w pamięci bardzo starannie i dochodzę do wniosku, że to chyba były występy Ludwika Solskiego. Też sobie wybrałem temat, toż o Solskim pisano w tym roku już tyle. Ale jednak może o nim jeszcze coś ciekawego powiedzieć. I to coś bardzo optymistycznego, krzepiącego.

Chodziłem kiedyś jak urzeczony na jego występy, interesowałem się jego osobą, zbierałem informacje, czytałem artykuły, recenzje, wspomnienia, w końcu poznałem go osobiście i potem parę razy zetknąłem się z nim, na krótko wprawdzie, lecz zapamiętałem wszystko, co mogłem spostrzec i zapamiętać. Interesował mnie jako wielki aktor i reżyser, ale i jako niezwyczajny człowiek, powiedzmy fenomen żywotności i energii, którą zawsze kipiał i pewnie wciąż jeszcze promieniuje.

Po raz pierwszy widziałem Solskiego, gdy był jeszcze zupełnie młody, to znaczy przed jego złotymi godami ze sceną polską. Było to we Lwowie, dokąd Solski przyjechał z całą serią gościnnych występów. Zrujnowałem swój studencki budżet i kupiłem bilet na cały cykl. Gra Solskiego mnie porwała, chwilami czułem jakieś zimne ciarki spływające po grzbiecie. Byliśmy we Lwowie wszyscy trochę opętani teatrem, chłonęliśmy zatem wszystko co wielkiego wiało ze sceny, z gry i reżyserii Solskiego. Jakby dla ukazania skali swego talentu i umiejętności transformacji, wybrał Solski na początek dwa dramaty Nowaczyńskiego „Wielkiego Fryderyka" i „Dymitra Samozwańca" Trudno było uwierzyć własnym oczom i uszom, że ten wczorajszy karzełkowaty staruszek na chwiejnych nogach i skrzekliwie chichoczący stary Fryc może się w ciągu doby zmienić w słusznego, smukłego i kipiącego energią młodzieńca, tańczącego wśród biesiadników. A miał wtedy pan Solski, jak wspomniałem, jakieś niecałe 70 lat. Szły potem inne role: Judasza w dramacie K. H. Rostworowskiego, Chudogęby w szekspirowskiej „Nocy Trzech Króli", Łatki w „Dożywociu" i Papkina w „Zemście" Fredry i inne. I jakoś tak już było, że kto raz widział Solskiego w jakiejś roli, to już potem wcielonej przez niego postaci inaczej sobie wyobrazić nie umiał.

Miał też Solski dar przedziwny, oto po jednej czy paru próbach pod jego kierownictwem stała publiczność nie poznawała znanych sobie aktorów, tak byli jako zespół przez przybyłego na gościnne występy mistrza podciągnięci do dobrego poziomu.

A co mnie wtedy szczególnie uderzyło, to fakt, że do najbardziej entuzjastycznych jego widzów należała młodzież, która przy innych okazjach lubiła wiele mówić o „konieczności wpuszczenia świeżego powietrza do teatru", o „reformach", o „przeżyciu się teatru naturalistycznego" i „nudzie wielkich dramatów historycznych" itp., ale miała zawsze wielką wrażliwość na to, co nie tylko się samo nazywało sztuką, ale i nią naprawdę było. O tym zaś, jak Solski potrafił grać dla dzieci, można by napisać całą książkę; tu wspomnę tylko, iż stanowiły one jego najbardziej godną uwagi, starań i wysiłku publiczność.

—◆—

GDY to piszę, przychodzi mi na myśl, że przecież dla wielu młodych tu na obczyźnie wiele tu wymienionych nazwisk autorów i tytułów dramatów czy sztuk jest zupełnie obcych. Ale chciałbym, aby to, co tu o polskim teatrze napiszę, przeczytali właśnie ci, którzy może nigdy w teatrze w Polsce nie byli i nie znają tego oczekiwania, gdy w pięknej sali gasną światła, odzywa się gong, rozsuwa się cicho kurtyna i przed naszymi oczyma zaczyna się rozsnuwać piękny świat teatralnej ułudy, gdy oko syci się pięknem dekoracyj wybitnego artysty a ucho pieści polskie słowo cyzelowane przez wielkiego aktora. Może im wydaje się niezrozumiałe, że w epoce, kiedy co tydzień prawie świecą rojem piękne i młode gwiazdy ekranu, aby niedługo po tym zgasnąć, ktoś tam się rozwodzi nad jednym starszym panem z polskiego teatru.

Zapewne niełatwo to im jakimś nowym i znanym zjawiskiem wytłumaczyć ale może ich zastanowi to, że Polak Ludwik Solski jest jedynym na świecie wielkim aktorem, mistrzem teatru, który od 80 lat występuje na pierwszych scenach naszego Kraju i który za parę miesięcy przekroczy 100 lat życia... wciąż grając.

Takiego zjawiska nie zna historia teatru na całym świecie. Bo pomyślmy tylko: Ludwik Solski urodził się w roku 1855, królowa Wiktoria była jeszcze zupełnie młoda, a dziś zasiada na tronie Wielkiej Brytanii jej prawnuczka. Legendarny już pewnie dla wielu młodszych cesarz austriacki Franciszek Józef I miał wtedy 25 lat i już panował, a potem jeszcze panował przez... 61 lat i od 38 lat nie żyje. A Solski gra i jeszcze śpiewa i tańczy na scenie. A gdy Ludwik Solski pierwsze swe kroki stawiał w teatrze, Sir Winston Churchill, niedawny jubilat, jeszcze nie mógł „potężnym rykiem" wyrażać dzielności serca „brytyjskiego lwa", bo zaledwie od paru miesięcy kwilił w kolebce. Tak, sto lat — to okres, który nie tak łatwo objąć nawet wyobraźnią, a co dopiero życiem i to takim życiem, w którego początkach jeździło się dyliżansem konnym, a przy którego końcu lata się odrzutowcem. Życiem wypełnionym wielkim umiłowaniem swej sztuki i wytężoną, nie znającą granic czasu, pracą.

(Dokończenie ze str. 9)

—◆—

KIEDY niespełna 20-letni pan Ludwik Sosnowski, bo tak się naprawdę Solski nazywa, stanął przed swym ojcem, byłym powstańcem z 1830 r. (a tak!) i powiedział, że chce iść do teatru, aby tam „grać Szekspira", uśmiechnął się stary pan Sosnowski i oczywiście nie chciał ani słyszeć, ale w końcu jakoś ustąpił. Trudność cała była w tym, że naprzód w Krakowie, a potem w teatrach wędrownych w b. Królestwie i w Warszawie grywał Solski nie Szekspira, a „Żyda w beczce" i inne temu podobne sztuczydła, śpiewał kuplety i znosił beztrosko prawdziwą biedę. Ale skoro musiał już śpiewać, to postanowił pracować nad swym głosem i rozszerzyć jego rejestr, a nawet z powodzeniem w r. 1882 wystąpił w Poznaniu jako Jontek w „Halce" Moniuszki. A że Szekspira na razie grać nie mógł, każdą wolną chwilą uczył się na pamięć jego dramatów i grał w nich sam po kolei wszystkie role męskie i kobiece, co mu się potem bardzo przydało jako reżyserowi.

Na parę lat przed ostatnią wojną brał Solski udział w uroczystościach ku czci Skargi w Płocku. To miasto przypomniało mu pewną przygodę z owych dawnych czasów wędrownych. Przybył on do Płocka ze swym teatrem na leże zimowe i tam właśnie się zdarzyło, że zapałał pierwszą gorącą miłością ku młodziutkiej koleżance „pierwszej naiwnej". Warunki materialne obojga były tak marne, że zgodnie postanowili uciec do innego teatru i poszukać lepiej płacącego dyrektora.

Młoda osoba zdołała się wymknąć pierwsza, a pan Mancewicz, bo takie było pierwsze nazwisko teatralne późniejszego Solskiego, dopiero w ostatniej chwili, w niedzielny poranek pośpiesznie przeprawiał się śladem ukochanej przez zamarzniętą Wisłę na Radziwie. Uciekinier jechał na niziutkich saneczkach, otoczony swym skromnym zapasem garderoby i biblioteczką. A że miało się ku wiośnie, po lodzie obficie płynęła już woda i zapewne dlatego podróż ta we wspomnieniach późniejszego mistrza sceny polskiej zachowała się jako lodowata nasiadówka. Pomimo wszystko było mu wtedy gorąco, nie tylko na wspomnienie o bliskim spotkaniu z panią swego serca, ale pewnie też dlatego, że na wysokim brzegu płockim stał zawiadomiony o niecnej ucieczce, potężny dyrektor teatru i wymachując grubą lagą wygłaszał swym donośnym głosem mało pochlebne opinie o naszym dezerterze.

Od roku 1883 jest Solski już na trwałe związany z teatrem krakowskim i tu zdobywa swe złote ostrogi jako wielki aktor i wybitny reżyser. Mimo że będzie potem czas dłuższy we Lwowie, a za czasów niepodległości przeniesie się na stałe do stolicy, zawsze pozostanie wierny Krakowowi. W nim dziś mieszka i pod Wawelem powita pierwsze dni swego 101 roku życia.

—◆—

LUDWIK SOLSKI jest najbardziej uniwersalnym znawcą tajemnic całego teatru, w którym się zna dosłownie na wszystkim. Aktor o genialnej intuicji opanował wszystko i na wszystko miał zawsze czas, dzięki swej niezwykłej wprost pracowitości, żywotności, energii i wprost namiętnej pasji. Nie będzie przesadą, gdy się go nazwie tytanem pracy, dzięki której wprost podwoił swe długie i tak bogate życie.

W każdą reżyserowaną sztukę, w której zresztą zawsze sam grał, wkładał Solski całą swą duszę, studiując drobiazgowo epokę. Każdy szczegół architektury i urządzenia wnętrza, każdy ubiór, uczesanie, pierścień na palcu musiał być autentyczny. Każdy ruch i gest musiał być w stylu epoki. Nie znosił żadnej łataniny, tandety, wszystko musi stanowić harmonijną całość, zapiętą na ostatni, oczywiście stylowy, guzik. Nie ma u niego rzeczy niedopatrzonych i niedopilnowanych, dlatego jest nie tylko tytanem, ale i tyranem pracy na scenie.

Wystarczyło pójść na jego próbę generalną, która trwała wiele godzin, czasem aż do chwili, gdy aktorzy się słaniali a aktorki mdlały, aby zrozumieć, że Solski nikomu niczego nie daruje. Że potrafi setki razy biegać z widowni na scenę, aby tak długo poprawiać, pokazywać, poddawać aż w końcu całość dojdzie do jakiejś miary górnej, z której on zawsze będzie jeszcze niezadowolony. Ale i jakich wychował on aktorów oraz jaką publiczność.

Był Solski prawdziwym reformatorem polskiego teatru, jeśli chodzi o dekoracje, i on to wprowadził na polską scenę nazwiska Frycza, Mehoffera, Siedleckiego i wielu innych. Kto popatrzy na choćby parę fotografii Solskiego w rozmaitych rolach, ten musi stwierdzić jego również mistrzostwo charakteryzacji, dzięki której ze swej twarzy niezwykle ruchliwej i o wyrazistych oczach potrafił robić co tylko chciał.

A ileż by można powiedzieć o Solskim jako o tym, który okazał naocznie teatralność wielu dramatów polskich, uważanych za „niesceniczne"! Czyż nie zasługuje na osobne studium współpraca tego kipiącego energią reżysera z bladym jak cieplarniany kwiat Wyspiańskim! Ilu wielkich polskich twórców z K. H. Rostworowskim na czele pisało swe dramaty, mając w nich gotową rolę dla Solskiego!

—◆—

W 1928 ROKU byłem na kursie wojskowym w Zaleszczykach. Pewnego dnia poszedłem na kamienistą plażę nad Dniestrem z mym towarzyszem broni, inż. Rydlem, synem znanego poety Lucjana. Z daleka zobaczyliśmy na plaży samotnego pana, który siedział w silnym słońcu. Gdyśmy się zbliżyli, poznałem Solskiego i powiedziałem Rydlowi. Poszliśmy się przedstawić. Solski ucieszył się spotkawszy Rydla; połynęły wspomnienia krakowskie i bronowickie, pytał o zdrowie pani Rydlowej i prosił, by ją serdecznie pozdrowić. Tak poznałem Solskiego osobiście i wtedy spostrzegłem dopiero jak wspaniałą pamięć ma ten człowiek i ile nią spraw polskich ogarnął. Był żywą kroniką więcej niż jednej epoki. W teatrze polskim sam tworzył epokę.

Na przykładzie właśnie Rydla można okazać pewną cechę Solskiego. W „Betlejem Polskim" Rydla grał Solski rólkę dziadusia, który „pochlebia babusi, bo babusia dla dziadusia pieczoneczkę dusi". Z takich rólek potrafił Solski robić klejnociki gry, pokazując, że nie ma wielkich i małych ról, są tylko wielcy i mali aktorzy.

Grał w swoim życiu tyle rozmaitych postaci, iż, jak ktoś obliczył, nie zmieściłyby się one w największej sali teatralnej w Polsce. Ze wszystkich zaś jego ról jako największa przedzie zapewne do historii ta, w której nie powiedział ani słowa — to niema rola Wiarusa z „Warszawianki" Wyspiańskiego, w której go sam autor w rysunku uwiecznił. Takim pamiętamy Solskiego wszyscy — jako żywy symbol spełnionego obowiązku żołnierskiego.

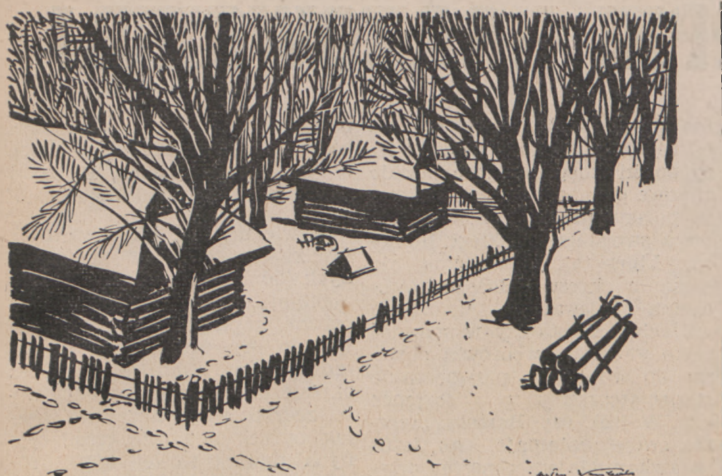
Solski należy do naszego narodu nie tylko na przestrzeni tego całego wieku, który przeżył, ale jest on jakby ponad wszystkim co przemijające. Solski należy do naszego narodu i wyraża jego niespożytego ducha, jego żywotność, siłę i kulturę, jego geniusz.

Myśląc z wdzięcznością i z dumą o tym skromnym i prostym człowieku i wielkim artyście doznajemy, uczucia krzepiącej dumy i jaśniej patrzymy w przyszłość.

—◆—

Cóż więcej można dziś powiedzieć Polakom o Polaku?

Janusz Czaharski



Antoni Wasilewski PODHALE W ZIMIE

BEZ RETUSZU

WESOŁEGO ŚLEDZIA!

Śledź mi przyszedł na myśl dlatego, że mój świętej pamięci ojciec, gdy był jeszcze biednym studentem w Krakowie, przyrządzał sobie pewnego roku na swym poddaszu samotną wilię — śledzia z herbatą i w czasie tych prac kulinarnych zemdlał i upadł na podłogę nie spożywszy tej wieczerzy wigilijnej. Z osłabienia. Z wycieńczenia głodem i przemęczenia pracą, bo oprócz studiów pracował zarobkowo na życie. Znaleźli go, zemdlonego, sąsiedzi.

Czyż więc śledź może być wesoły? Mimo wszystko myślę, że może, skoro wesołe może być i jajko wielkanocne. A jeszcze bardziej wesoły może być karp w śmietanie albo kluski z makiem. Natomiast bardzo smutnym, ponurym posiłkiem na święta jest pałaszowany przez tubylców indyk, czyli „turkey" a już zupełnie niejadalnym jest „Christmas Pudding" nadający się raczej do bombardowania pozycji nieprzyjacielskich w czasie wojny.

Kiedy mam składać życzenia świąteczne mym Czytelnikom, Przyjaciołom i Nieprzyjaciołom, muszę się wystrzegać, by nie było w nich nic banalnego; od jakichś lat piętnastu życzymy sobie co roku, by następną wilię obchodzić w Polsce, tego życzenia więc w tym roku powtarzać nie można. Bardziej natomiast aktualne jest życzenie, byśmy do następnej wigilii zasiadali już całkowicie zjednoczeni, oczywiście, jeślibyśmy jeszcze przebywali na emigracji Gdybyśmy bowiem wrócili w międzyczasie do Kraju, wolno nam będzie ponownie brać się za czuby. Boże Narodzenie to święto pokoju ludziom dobrej woli. Jakiż pokój panowałby wśród nas, gdybyśmy wszyscy, co do jednego, tę dobrą wolę posiadali!

Pan Bóg czuwa widocznie nad naszą emigracją. Wielu, bardzo wielu z nas odchodzi co roku na cmentarz, na wieczny spoczynek, ale te braki i luki wciąż się jakoś uzupełniają. Mniej przez przyrost naturalny, bo emigranci jak wiadomo, nie chcą mieć dzieci, więcej zaś przez napływ rodaków z Polski. Emigracja nasza zasiądzie w tym roku do stołu wigilijnego powiększona o siedmiu z „Puszczyka". Obliczyłem, że gdyby z okrętów polskich uciekło nie siedmiu, lecz — powiedzmy — siedmiuset, to na fundusz pomocy zbiegom z Polski mielibyśmy w gotówce 600 tysięcy funtów, sumkę wcale okrągłą. Może skorzystaliby z tego nie tylko uciekinierzy, którzy jakoś dadzą sobie radę, ale i dzieci w Niemczech i szkoły katolickie i kościoły, wciąż zadłużone, i wydawanie podręczników i... et, co tu będę wymieniał, zaraz mi wypomną, że nawet z okazji wigilii nie mogę sobie darować żebraniny.

Martwi mnie tylko jedno: że z roku na rok, gdy zasiadam do pisania świątecznego felietonu i przeglądam się przedtem w lustrze, widzę, że na głowie mojej jest coraz mniej włosów, a te, które zostały, stają się coraz bardziej białe. Kto z nas przypuszczał, opuszczając Kraj przed piętnastu laty, że nie zobaczy Polski tak długo? Nazywało się zawsze rok, może dwa a już najwyżej trzy, po wojnie zaś i po Jałcie nazywało się znowu, że rok a najwyżej dwa. Na tegoroczną wigilię możni panowie tego świata przygotowują ludzkości zamiast pokoju „appeasement", choc „appeasement", to wcale nie to samo co pokój. To tylko głaskanie i uspokajanie drapieżnika i to nie ma nic wspólnego z pokojem ludziom dobrej woli. Ludzie dobrej woli cierpią niewolę, która jest zaprzeczeniem pokoju a pomiędzy koegzystencją a pokojem jest także wielka, zasadnicza różnica.

Nie mogę sobie darować, by w czasie świąt nie odwiedzać kogokolwiek ze znajomych, posiadających małe dzieci. Boże Narodzenie bez dzieci to jak zupa bez soli i dlatego najnieszczęśliwsi są ci, którzy wieczór wigilijny spedzają sami. Pomyślmy więc w ów święty wieczór szczególnie o tych samotnych, którym zamiast gwiazdy betlejemskiej świeci wciąż czerwona gwiazda komunistyczna na polskim niebie, o tych Polakach, którzy wciąż gniją w sowieckich łagrach, o Kardynale Wyszyńskim, o skazanym ostatnio po torturach Biskupie Baraniaku, o innych Biskupach, tysiącach księży. I gdy na biały opłatek spłynie nasza łza serdeczna, z oczu nawet tych którzy w nic nie wierzą, pomyślmy, że Polacy w niewoli w Kraju i w Rosji dlatego cierpią, byśmy my i nasze dzieci wrócili do Polski lepszej, jaśniejszej, wolnej.

Brak mi również strasznie od lat widoku śniegu i mrozu, sanny i kuligów, boć przecież kulig artystów polskich w St. Pancras Town Hall w Londynie tego nie zastąpi. Brak mi szopki i kolędników, i siana pod stołem i snopu zboża w kącie; opłatki urządzane na emigracji są dziwnie odmienne od tego wszystkiego, co w mym umyśle i sercu kojarzy się z Bożym Narodzeniem.

Wolałbym stokroć śledzia z suchym chlebem i herbatą w Krakowie, niż różne, niedołężnie imitujące polską wigilie, potrawy z puszek w Londynie. Nie może po nich zahuczeć kolęda, jak w Polsce, bo głos nie wydobywa się z gardła, a oczy przyćmiewają się łzami. Nikt i nic nie potrafi nam zastąpić naszej polskiej wigilii, bo tacy już jesteśmy i zostaniemy

Michał Osa-Gderski

OD ŚW. FRANCISZKA DO SZOPKI KRAKOWSKIEJ

BIOGRAF św. Franciszka z Asyżu, Tomasz z Celano, opisuje nam jak to na trzy lata przed śmiercią Święty postanowił w szczególnie uroczysty sposób uczcić nadchodzące Boże Narodzenie. Zawiadomiono braci zakonnych z różnych stron i ludność okoliczną o tym, że uroczystość odbędzie się w lesie, w noc wigilijną o północy. Zaciekawieni ludzie przybyli tłumnie niosąc świece i pochodnie. W lesie, na oczach widzów ustawiono żłóbek napełniony sianem i podprowadzono do żłobu wołu i osła. Rozpoczęto uroczystą Mszę św., w czasie której sam Franciszek wygłosił kazanie. Wszyscy ludzie milczeli w zachwycie słuchając pieśni nabożnych śpiewanych przez braci, które echem odbijały się wśród skał i jarów, las złocił się cały od płonących pochodni, gwiazdy grudniowe wydawały się świecić mocniej nad tym włoskim miasteczkiem przemienionym w nowe Betlejem. I wówczas, jak opisuje kronikarz, zdarzyła się dziwna rzecz. Otóż stary Jan, który na polecenie Franciszka zbudował żłobek i przyprowadził wołu i osła, zobaczył wyraźnie w dziwnym zachwyceniu Dzieciątko leżące w żłobku i wyciągające rączki do Franciszka, który zbliżył się i pochylił nad żłobkiem.

Tak więc odbyły się pierwsze jasełka w chrześcijańskim świecie. Jasełka uświetnione obecnością i kazaniem jednego z największych świętych Koscioła — świętego poety, kochającego wszystko, co żyje gorącym wielkim sercem Brata. Związała się z nimi śliczna legenda, jakoby samo Dzieciątko zajęło przeznaczone dla Niego miejsce w żłobku pod strażą wołu i osła, wśród tłumu, w którym nie brakło okolicznych pasterzy.

Przyjaciółka św. Franciszka św. Klara, założycielka zakonu franciszkanek, wprowadziła jasełka do swojego klasztoru w Asyżu. Zwolna wszystkie zakony franciszkańskie przyjęły ten piękny zwyczaj roznosząc go po całej Europie. Z zakonami franciszkańskimi jasełka przywędrowały i do Polski. W klasztorze krakowskim sióstr klarysek zachowano piękne figurki jasełek jeszcze z XV wieku. Ustawiano je początkowo na górnych galeriach kościoła św. Andrzeja objętych klauzurą i przeznaczone były tylko dla zakonnic. Ale wkrótce, pielęgnując i rozwijając inicjatywę swojego założyciela, franciszkanie postarali się o to, by jak najliczniejsze tłumy wiernych oglądały jasełka. Figurki ustawiono na podwyższeniu, które można było obejść dookoła. Stajenka nie miała ścian, podpierały ją tylko cztery słupki, a w stajence, zależnie od tradycji lokalnej, były rozmaite postacie, zmieniane zależnie od uroczystości kościelnych. I tak w okresie Bożego Narodzenia pokazywano Dziecię w żłóbku, Maryję, Józefa i pasterzy, po tym na uroczystość Młodzianków — rzeź niewiniątek, rzymskich żołnierzy mordujących dzieci, na Nowy Rok wprowadzano do stajenki arcykapłana, lewitów i prorokinię Annę. W święto Trzech Króli ustawiano w stajence wspaniały i czasami ucieszny orszak świętych mędrców, a po oktawie trzech Króli Dzieciątko Jezus nie leżało już w żłobku, lecz siedziało na krzesełku. Rozbierano uroczyście jasełka po kompletorium w święto Matki Boskiej Gromnicznej.

Jasełka miały ogromne powodzenie u ludu. Tłumy cisnęły się do franciszkańskich kościołów. Ażeby wszyscy pobożni mogli brać czynny udział w adoracji Nowonarodzonego, mnisi starają się dostarczyć ludowi kolęd w języku polskim, zrozumiałych dla wszystkich. Tłumaczą więc łacińskie kolędy na język polski. Poczęto także tworzyć nowe kolędy i w rezultacie już pod koniec XVI wieku powstają całe zbiórki, nazwane później kantyczkami. Wśród nich powstała popularna, do dziś śpiewana kolęda „Anioł pasterzom mówił". Zanucono ją pewnie po raz pierwszy przy żłobku jasełek sławiących okres od Bożego Narodzenia do święta Młodzianków i śpiewa się do dziś.

W wieku XVII nastąpiła wielka zmiana w jasełkach i śpiewanych przy nich kolędach. Otóż, ni mniej ni więcej — przeniesiono miejsce Narodzenia do Polski. Kto to zapoczątkował — nie wiadomo. Ale od tej pory naokoło stajenki leży polski śnieg, migocą polskie zimowe gwiazdy, a pasterze mają polskie imiona. Kolęda nabiera swoistego polskiego humoru, który tak ją odróżnia od pieśni z okresu Bożego Narodzenia śpiewanych w innych krajach. Wystarczy wspomnieć tylko wszystkie wędrówki pasterzy do szopy, ich przygrywanie „Dzieciąteczku" w stajence gdy Wojtek czy Bartosz „zacznie swoje szałamaje, aż Jezus paluszkami łaje", a nawet przekomarzanie się Świętej Panienki z Józefem. Święty twórca jasełek nieraz się pewnie z nieba uśmiechał serdecznie, gdy dochodziły go skoczne melodie obertasów czy krakowiaków i piękne, naiwne słowa, głoszące o tym, jak Maciek, Kuba i Stach składają hołd Dzieciątku

W wieku XVII przesuwają się jasełka z kościołów klasztornych do parafialnych, rosną, pięknieją, zajmują nieraz całe boczne kaplice, docierają nawet do prywatnych domów zamożnych parafian. W tym też okresie dla większej atrakcyjności zaczęto wprowadzać do jasełek oprócz dawnych, tradycyjnych figurek także figurki ruchome, które odgrywały coś w rodzaju rodzajowych scen. Odbywało się to oczywiście w godzinach wolnych od nabożeństw, niemniej waliły się takie tłumy ludzi, panował taki gwar i tumult, że biskupi polscy, jeden po drugim, zabronili odbywania w kościołach takich widowisk. W kościele pozostały więc tylko — jak dawniej — nieruchome jasełka; ruchome zaś widowisko — szopka wyniosła się poza mury kościelne. W kościele zapanował znów spokój — nikt już, jak pisze ks. Kitowicz, pamiętnikarz z XVIII wieku „nie podnosił się na ławki i nie właził na ołtarze". Cisnęli się natomiast ludzie na rynku, czy po gospodach, gdzie kolędnicy, szopkarze, żacy, wagabundy — a później po wsiach i parobczacy wiejscy, jak umieli pokazywali obok scen bożenarodzeniowych intermedia rodzajowe, humorystyczne, bardzo żywe, często niecenzuralne. Pojawiają się w szopce rozmaite postacie ubogich chłopów, szewców, krawców, druciarzy, Węgrów — olejkarzy, kominiarzy. Lalki podrygują wesoło na patyku, a ukryci chłopcy przemawiają językiem żywym, dosadnym, zrozumiałym dla prostego ludu. Oczywiście mamy w tej szopce szlachcica Twardowskiego, szynkarkę tańcującą z kawalerem, śmierć z diabłem i proszalnego dziadka. Najzabawniejsze pozostały jednak sceny i kolędy pasterskie — głupi Wojtek z kozą, co „leci po kolędzie sperki zbierać", Furgoł, co w dworskiej kuchni „rondelki językiem omywoł", Szymek, który grozi powybijaniem okien jegomościowi, co mu nie chciał dać „dziewecki". I tak następowały po sobie figle i psikusy szopkowe, a lud w mieście i na wsi cieszył się i śmiał z tej rodzimej twórczości.

Kto raz widział szopkę krakowską, misterną, precyzyjną, przypominającą zazwyczaj fronton kościoła Mariackiego, podzieloną na dwa piętra (górne wyobraża stajenkę betlejemską, dolne jest sceną dla intermediów rodzajowych) — nie zapomni jej nigdy. W szopce krakowskiej wypowiedziała się bardzo pięknie wielka inwencja plastyczna i teatralna polskiego ludu. I coś więcej jeszcze. Duża naiwność, ciepło i świeżość uczucia — to, co leży u podstaw najpiękniejszych przejawów ludowej sztuki.

S.

POLAKOM W KRAJU I NA OBCZYŹNIE, WSZYSTKIM, KTÓRYCH ŁĄCZY IMIĘ CHRYSTUSA I WSZYSTKIM LUDZIOM DOBREJ WOLI SERDECZNE ŻYCZENIA ZDROWYCH, POGODNYCH ŚWIĄT W DNIU NARODZENIA PAŃSKIEGO SKŁADA:

GAZETA NIEDZIELNA

JAGWIENT I WILIJO NA PODHOLU

Jagwient na Podholu w Graniak Zywca, to nie jyno psisionek do Gód, jale ji wróz na cały psisły Nowy Rok, cy bydzie tyn rocycek scyńsliwy abo tyz niy? Syćko jagwient pokoze.

Z któryj strony wiejom wiatry w jagwiencie, z tyj strony w psisłym roku bydom psichodziły burze.

Jak sie drzewa owocowe w sadak kołysom uod wiatrów, to bydzie uurodzajny rok na uowoc.

Jak piyrsy śnig śleci a porobiom sie uobsypiny kole wjirbiny ka rośnie? — to znak ze sie uurodzom ziymnioki.

Jak uósmego grudnia w dziyj Niepokolonego Pocyńcia N. M. P. cały dziyj słójce świyci? — to rok bydzie ładny ji dobry.

Jak piyrsy śniyg ślezie przed Bozym Narodzyniym — pleź uoziminie nie zaskodzi.

Jakigo drzewa wiatry w lesie nałomion nojwiyncyj — takik ludzi nowiyncy zemrze.

Jak zagrzmi ji błyskawica sie na niebie pokoze — rok psisły bydzie scyńśliwy ji uurodzajny.

Jak sowa w nocy w sadzie zakuwiko — we famiyliji ktosik uumrze.

Jak zakuwiko w uoknie — doma uumarły.

Jak psy wyjom po wsiok — niescyńście lo nik ji lo ludzi.

Jak bydło rycy w sopak — cuje niescyńście lo siebie.

We Wilijom ku Świyntymu Tomie (20. XII) uwozo się cy bydzie rok scyńśliwy lo furmanów leśnyk.

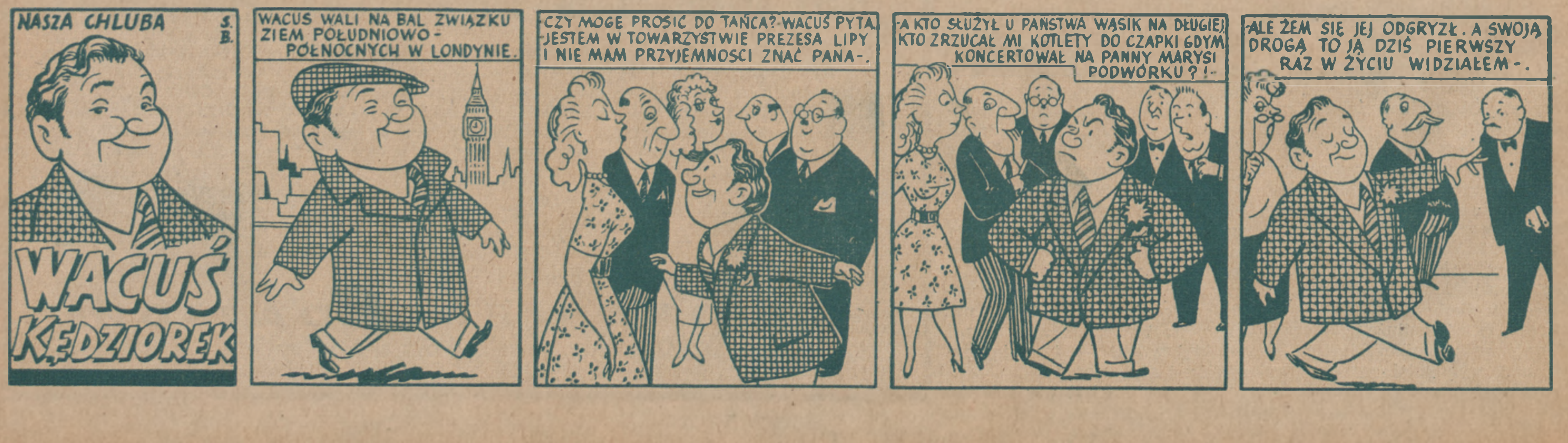
W uostatnim dniu jagwientu cyli we Wilijom Bozygo Narodzynio, jak wcas rano niebo cyste ji mało gwioździste — bydom się wydowały stare dziwki ji gdowy. Jak cyste ji pełno gwioździste — bydom mioły scyńście dziwki bjidne. Jak zachmurzone ji śniyg polatuje, dziwki bogate.

Na jagwiyńcie nojbarzy strasy ji wodzi nie jyno w nocy jale ji bez dziyj, cosami ji w połednie mo wdor człeka postrasyć i wodzić, a nojwiynksy mo wolor do pijoków.

Bogiynki pokazujom sie zawse wiecór ji cosym nad ranym nojwiyncyj na młakak, casami psijdom jaz ku chałupie, jak na nik kto zagwizdo z pod strzechy. Nie dej Bóg jakby kogo spotkały w uotwartym polu... to nojlepiyj lagnąć gymbom do ziymii ji nie puscać dechu... to jyno ścajom po plecak ji pytajom sie: spity tu, spity tu? Jakby pocuły dek to by człeka uudusiły, jak ześcajom to uodchodzom, bo myślom ze nieboscyk.

Uutopiec nojwiyncy sie pokazuje w potokak w nocy w psikopak kole drógi jak jidom ludziska na Roroty, to casym lezy na kraju, bo na środku ni moze bo ksiądz z Panym Jezusym pszejyzdzo środkiym drógi do chorego, to go porzo. Cosym w bioły diyj sie ścieklina kąpie w potoku, w plośle jak malićki chłopiec, casami sie przemiynio w psa, w ciele, jak kce, jak mu lepi, potym wychodzi na brzyg ji uopolo sie na śniygu ji zniko bez śladu.

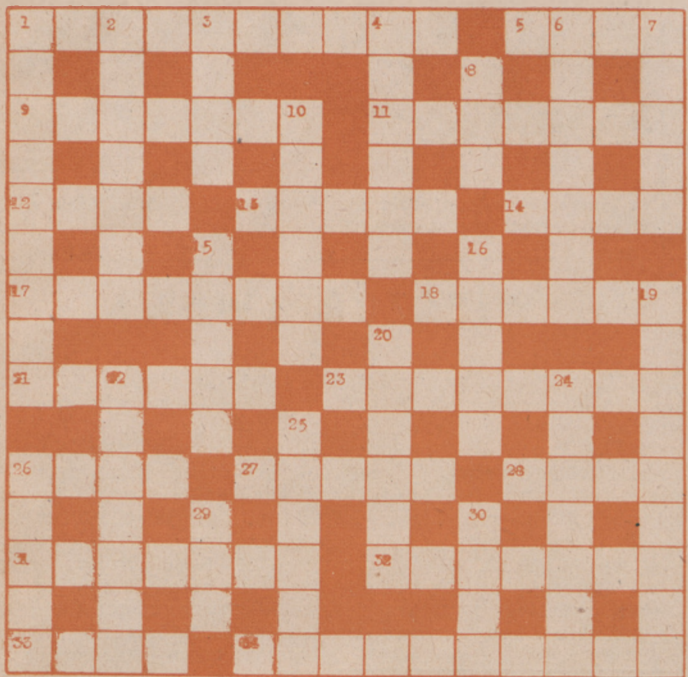
A. Klimczak



GWIAZDKOWE KONKURSY ROZRYWEK UMYSŁOWYCH Z NAGRODAMI

DLA DOROSŁYCH

KRZYŻÓWKA



POZIOMO: 1. Dobrze wykonany może wzbudzić wiele zdziwienia. 5. Jeden ze zmysłów. 9. Psy św. Bernarda niosą go w górach. 11. Nie człowiek je z tego naczynia. 12. Połowa magicznego zaklęcia lub może być mały wóz. 13. Rodzaj gleby. 14. Kolor w kartach. 17. Wyłanianie się, promieniowanie. 18. Smaczny jest z jajkiem na twardo. 21. Malarz światowej sławy. 23. Rodzaj wieńca. 26. Opad. 27. Ptak o dużym dziobie. 28. Pies myśliwski. 31. W coraz więcej domach jest spotykana. 32. Hetman Sapieha stamtąd pochodził, co mu Zagłoba przypomniał (wspak). 33. Też istota żyjąca. 34. To był właściwy tytuł Rzędziana .

PIONOWO: 1. Usiany jest gwiazdami. 2. Roślina rosnąca na moczarach. 3. Czyta się w restauracji. 4. Silna wódka. 6. Mieszkaniec Madagaskaru. 7. Smaczny napój. 8. Nie pito w nim, lecz zawiązano konfederację. 10. Los ma swoje i państwo ma swoje. 15. Jeden nie stanowi jeszcze tytułu opery. 16. Instrument muzyczny. 19. Strzelba dziecinna. 20. Nieduży stragan (wspak). 22. Rosyjskie słowo często używane na określenie stanu psychicznego. 24. Jeszcze nie ostateczna forma fotografii. 25. Dobrze smakuje z papryką. 26. Już szybciej koń nie może. 2. Owoc jej zaszkodził. 30. Podstawia nogę, gdzie konia kują (wspak).

WYKREŚLANKA

W wypisanych rzędami jedno pod drugim słowach według podanego znaczenia należy skreślić pierwsze i trzecie sylaby, a wówczas środkowe sylaby dadzą aktualne rozwiązanie.

1. Dzielnica Polski.
2. Ksiądz ma ją zwykle w ogrodzie.
3. Kwiat.
4. Stanowiła część Rzeczypospolitej Polskiej przed rozbiorami.
5. Jeden z Sakramentów.

BILETY WIZYTOWE

Po przestawieniu liter w każdej z wizytówek otrzymamy zawód jej właściciela.

R. SZALOT | FR. JERZY | T. PRZEMALSKI

SZYFROGRAM

„...1, 2,3.4,5,6, 7.8,6,9,10,4.11,12, 13,8,14.15,2.3.4.13
7.14.3.16, 9.4.8.13.10.17, 3,8, 9,18,15,19,5,20 3
7,14,3,16,22,8 11,4,21,19 9.1.16.11.12 10,15,19,5,20
15,7,19,8,18,5,10 7,15,19,8,20,8,19 4 9.7.15.23.16.19.".

Po rozwiązaniu podanego niżej klucza pomocniczego należy pod poszczególne liczby podstawić odpowiednie litery i odczytać wyjątek z „Emira Rzewuskiego" Słowackiego.

Klucz pomocniczy:
7.4,8.13.4.13.15 — instrument muzyczny, elegancki mebel w pokoju.
19,16,23,5,11,3.10,8 — miara płynu często używana przez lekarza.
13,8,9.18,14.21,22 — na pewno będzie odpowiedni w czasie Wigilii.
12,17.20,8.6 — Ukraińcy sprawili tam rzeź Polaków.
1,15.2,8 — najzdrowszy napój na świecie.

Przesyłam rozwiązania .... zagadek gwiazdkowych konkursów rozrywek umysłowych „Gazety Niedzielnej" na ilość .... punktów oraz Postal Order na 9 d. (2 międzynarodowe kupony pocztowe).

Imię i nazwisko: ....

Dokładny adres: ....

....

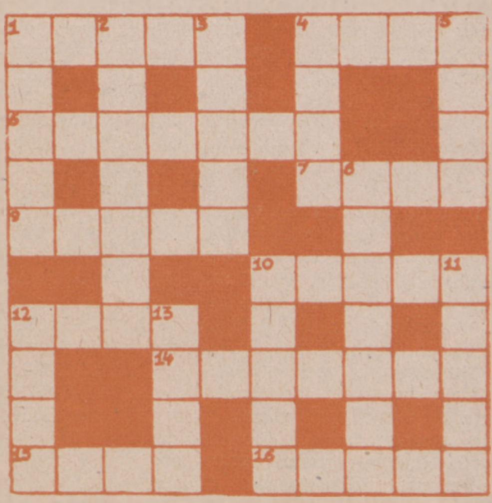
(Prosimy o czytelne wypełnienie kuponu)

DLA DZIECI

KRZYŻÓWKA

POZIOMO: 1. Postać z Szopki, 4 i 5 Pionowo — Łamiemy się nim przy Wigilii, 6. Smakuje z grzybami, 7. Ponury ptak, 9. Krew zwierzęca, 10. Ma grzebień i ostrogi, chodzi po podwórku, 12. Materiał używany do opatrunku (wspak), 14. Je się te smakołyki w okresie Bożego Narodzenia, 15. Dużo osób w nim śpiewa, 16. Miasto w Polsce.

PIONOWO: 1. Gra sportowa uprawiana w zimie na lodzie, 2. Duża żaba, 3. Każdy z nas ją ma i to odróżnia nas od zwierząt, 4. Inaczej na odwrót, 8. Dobrze smakuje z masełkiem na śniadanie, 10. Z niego wykluwa się motyl, 11. Duże lustro, 12. Często bywa na skarpetce, a zawsze jest na twarzy (wspak), 13. Niegrzeczny, źle wychowany człowiek.



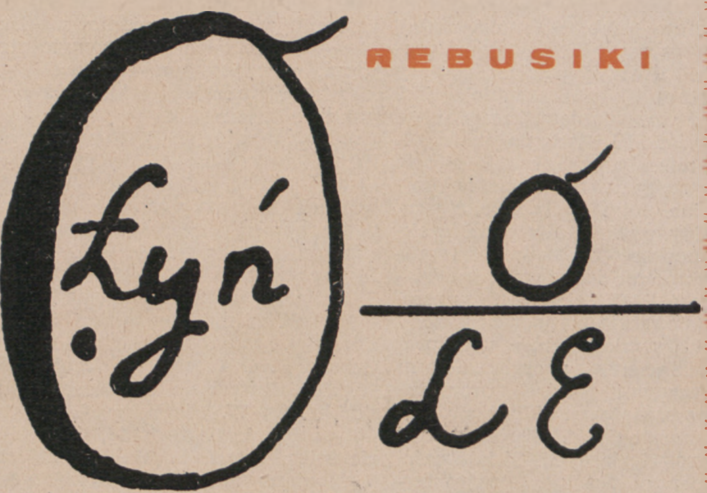
WARUNKI KONKURSÓW

1. W konkursie dla dorosłych może uczestniczyć każdy czytelnik „Gazety Niedzielnej". W konrosłych może uczestniczyć może każde dziecko w wieku do lat 15.

2. Konkurs dla dorosłych składa się z czterech zadań. Poprawne rozwiązanie krzyżówki i szyfrogramu daje po 10 punktów, wykreślanki 5 punktów, każdej z trzech wizytówek po 2 punkty. Wśród czytelników, którzy uzyskają maksymalną cyfrę czyli 31 punktów rozlosujemy pierwszą nagrodę w gotówce w kwocie £ 1.10.0. Wśród czytelników, którzy uzyskają od 25 do 30 punktów rozlosujemy drugą nagrodę w gotówce w kwocie £ 1.0.0. Wśród czytelników, którzy uzyskają od 20 do 24 punkty rozlosujemy trzecią nagrodę w gotówce w kwocie 10 szylingów.

3. Konkurs dla dzieci składa się z czterech zadań. Poprawne rozwiązanie krzyżówki daje 10 punktów, każdego rebusiku po 3 punkty, każdej zagadki po 4 punkty. łamigłówki po 5 punktów. Maksymalna ilość możliwych punktów wynosi więc 40 punktów. Wśród dzieci, które uzyskają 40 punktów rozlosujemy pierwszą nagrodę w postaci kuponu wartości £ 1.0.0 na dowolnie wybrane książki z księgarni „Veritasu". Wśród dzieci, które będą miały od 33 do 39 punktów rozlosujemy drugą nagrodę w postaci kuponu wartości 15 szylingów na dowolnie wybrane książki z księgarni „Veritasu". Wśród dzieci, które uzyskają od 26 do 32 punkty rozlosujemy trzecią nagrodę w postaci kuponu na 10 szylingów na dowolnie wybrane książki z księgarni „Veritasu".

REBUSIKI





Każdy rebusik przedstawia jedną z dzielnic Polski — zgadnijcie jakie to są dzielnice.

ZAGADKI

Jaka rzeka w Polsce przez zmianę pierwszej litery da imię żeńskie?

Jaki mały, czerwony, słodki owoc przez zmianę pierwszej litery da duży krzak?

Jaki dzień tygodnia przez zmianę pierwszej litery da pracę?

Jaki ptaszek przez zmianę litery ż na rz da imię chłopczyka?

ŁAMIGŁÓWKA

Zmieniając po jednej literze w każdym rzędzie zamieńcie słowo Krak na słowo Plon.

K R A K
. . . .
. . . .
P L O N

4. Rozwiązania należy nadsyłać do dnia 10 stycznia 1955 r. Do rozwiązań należy dołączać Postal Order na 9 pensów (za granicą dwa międzynarodowe kupony pocztowe) i wypełniony czytelnie kupon konkursowy. Wyniki, rozwiązania zadań i rozdział nagród gwiazkowych konkursów rozrywek umysłowych ogłosimy w numerze „Gazety Niedzielnej" datowanym 13 lutego 1955 roku.

POLSKA MACIERZ SZKOLNA ZAGRANICĄ

WKRACZA W NOWY ETAP ROZWOJU

W dniu 28 listopada odbył się w Londynie zjazd walny Polskiej Macierzy Szkolnej. W zjeździe wzięło udział 92 uczestników (delegaci kół i organizacji współdziałających oraz członkowie władz PMS). Po zagajeniu zjazdu przez W. Donigiewicza prezesa Zarządu Głównego Macierzy, dokonano wyboru prezydium zjazdu w osobach: T. Drwęski — przewodniczący, płk F. Arciszewski i dr W. Czerwiński — zastępcy przewodniczącego oraz T. Borowicz i H. Gąsiorowska — sekretarze.

Na wstępie odczytano listy z życzeniami od nieobecnych członków Rady Macierzy: amb. E. Raczyńskiego i płk. A. Bogusławskiego.

W imieniu władz głównych PMS wyczerpujące sprawozdania złożyli: gen. W. Anders, przewodniczący Rady, W. Donigiewicz i A. Gaś z ramienia zarządu oraz prof. dr T. Grodyński, przewodniczący Głównej Komisji Rewizyjnej. Ze sprawozdań tych wynika, że Polska Macierz Szkolna osiągnęła w okresie sprawozdawczym poważne wyniki pod względem organizacyjnym przez utworzenie 41 kół terenowych i uzyskanie około 2.000 członków. Również wpływy finansowe na cele oświatowe (zbiórka na 3 maja) były wyższe niż w latach ubiegłych. Rozwój polskiej oświaty szkolnej i przedszkolnej jest głównym zadaniem, któremu ma służyć PMS. Zadania te są olbrzymie. Jednak okazuje się, że w tych sprawach społeczeństwo polskie potrafi zdobyć się na zgodny wysiłek, aby podjętą akcję poprzeć. Dyskusja nad sprawozdaniami świadczyła, że działalność PMS „chwyciła" w terenie. Powstaje coraz więcej kół i punktów szkolnych, a współpraca Macierzy z organizacjami społecznymi, które prowadzą akcję oświatową, układa się bardzo harmonijnie. Dużą pomoc dla rozwijającej się działalności Macierzy okazuje duszpasterstwo polskie.

Po zakończeniu dyskusji zjazd walny uchwalił jednomyślnie władzom Macierzy absolutorium z podziękowaniem.

Z ważniejszych poprawek statutowych, uchwalonych na zjeździe, należy wymienić następujące:

Zmieniono nazwę stowarzyszenia na „Polska Macierz Szkolna Zagranicą".

Rozwinięto postanowienie o celach stowarzyszenia przez dodanie zdania: „utrzymanie i pogłębianie świadomości religijnej i narodowej wśród dzieci i młodzieży, wychowanie młodego pokolenia w duchu wiary ojców, tradycji i kultury narodowej oraz wierności dla sprawy Niepodległości i Wolności Rzeczypospolitej Polskiej".

Liczbę członków Rady podwyższono do 60.

Na wniosek Komisji-Matki, której przewodniczył prezes J. Baliński-Judziłł, dokonano wyboru Zarządu Głównego w osobach: H. Archutowski, T. Borowiecki, W. Donigiewicz, T. Drwęski, M. Goławski, F. Jaworski, A. Jasieniecki, W. Kański, M. Małachowska, B. Niemczyk, B. Podhorski, A. Szczypiorski, S. Szydłowski i ks. kan. N. Turulski.

Zarząd ten po kooptowaniu A. Wierzbiańskiej i dr. W. Czerwińskiego ukonstytuował się na zebraniu w dniu 7 grudnia, wybierając prezesem W. Donigiewicza, wiceprezesami T. Drwęskiego, W. Kańskiego i M. Goławskiego, sekretarką A. Wierzbiańska, zast. sekr. B. Niemczyka, skarbnikiem A. Jasienieckiego.

Skład Rady po wyborach uzupełniających przedstawia się następująco: gen. W. Anders, M. Arciszewska, F. Arciszewski, J. Baliński-Judziłł, A. Bogusławski, W. Dunin-Borkowski, T. Borowicz, prof. T. Brzeski, K. Cekało, J. Czaharski, A. Czułowski, M. Duszowa, W. Dłużewski, ks. bp W. Fierla, prof. W. Folkierski, A. Gaś, dr M. Giergielewicz, prof. B. Hełczyński, E. Hołdanowicz, S. Jankowski, dr J. Jasnowski, dr Z. Jordan, dr Z. Kasprzycka, ks. dziekan F. Kącki, J. Kisielewski, I. Komorowska, J. Kott, S. Krajewski, ks. K. Krzyżanowski, A. Kuczyński, gen. M. Kukiel, S. Lis, inż. J. Macieliński, S. Maj, ks. infułat B. Michalski, W. Nadratowski, J. Narożański, prof. H. Paszkiewicz, J. Płazak, J. Płoski, prof. B. Połujan, S. Potocki, dr K. Poznański, M. Przedrzymirski, amb. E. Raczyński, M. Radoń, A. Robakowski, A. Różański, L. Rybicki, ks. prał. W. Staniszewski, M. Stopa, prof. S. Stroński, prof. T. Sulimirski, Z. Szadkowski, A. Treszka, dr I. Wieniewski, P. Woźniak, ks. A. Wróbel, prof. A. Żółtowski.

Do Głównej Komisji Rewizyjnej weszli: prof. dr T. Grodyński, K. Harasimowicz, J. Rożdżyński, B. Stemborowski, S. Załęski.

Zjazd powziął cały szereg uchwał dających wytyczne dla działalności Macierzy. Do społeczeństwa polskiego zjazd wystosował następujący apel:

„Walny Zjazd Polskiej Macierzy Szkolnej Zagranicą wyraża głęboką wdzięczność społeczności polskiej w Wielkiej Brytanii za jej niesłabnącą, a nawet z każdym rokiem wzrastającą ofiarność na cele oświatowe. W obliczu stopniowego i coraz bardziej radykalnego ograniczania pomocy, świadczonej przez czynniki brytyjskie na polskie potrzeby oświatowe, ciężar ich zaspokajania przesuwa się coraz bardziej na samo społeczeństwo polskie. Jest rzeczą wysoce krzepiącą, że liczba placówek szkolnych, utrzymywanych jego wspólnym wysiłkiem, zwiększa się z każdym rokiem, pokrywając swą siecią coraz większą liczbę miejscowości, dając znajomość kultury polskiej coraz liczniejszym zastępom dzieci i młodzieży.

Walny Zjazd zwraca się z apelem do wszystkich organizacji polskich, do wszystkich działaczy społecznych, nauczycielstwa i wielebnego duchowieństwa, a przede wszystkim do najbardziej tą akcją zainteresowanych — rodziców dzieci polskich o prowadzenie dalszej równie ofiarnej, jak dotychczas, a jeszcze szerszej w swym zasięgu działalności kulturalno - oświatowej, pamiętając, że utrzymanie przy polskości naszych polskich dzieci jest jednym z najważniejszych i nieprzemijających zadań polskiego uchodźstwa i wychodźstwa.

Wobec zbliżających się świąt Bożego Narodzenia Zjazd Polskiej Macierzy Szkolnej zwraca się z gorącą prośbą do społeczeństwa polskiego, by zgodnie z utartą już od trzech lat tradycją ofiarowało kwoty, przeznaczone na wysyłkę życzeń świątecznych na cele Polskiej Macierzy Szkolnej. Walny Zjazd zwraca się z prośbą do prasy, by opublikowała ten apel na jej łamach."



Fot. W. Bednarski — Londyn

Na „Bazarze Bożenarodzeniowym" w Zjednoczeniu Polek uwagę zwracało efektowne stoisko Katolickiego Ośr. Wydawn. „Veritas".

WIECZÓR LWOWA

Urządzony staraniem Zw. Ziem Płd. Wsch. „Wieczór Lwowa" był imprezą ze wszech miar udaną. Przyczynił się do tego zarówno doskonały prelegent red. Witold Nowosad, specjalnie zaproszony z Paryża, jak i dobrze dobrany program części artystycznej.

Przejrzyste w układzie, rzeczowe, interesujące i wygłoszone piękną, niestety coraz rzadziej słyszaną u nas, polszczyzną przemówienie red. Nowosada kończyło się wnioskiem, że nie może być mowy o bezpieczeństwie naprawdę wolnej Polski, o jej gospodarczej niezależności i o prowadzeniu przez nią samodzielnej polityki oraz o posiadaniu należnej jej pozycji w świecie bez Ziem Wschodnich z Lwowem i Wilnem. Należy przypuścić, że przemówienie zostanie opublikowane i udostępnione tym wszystkim, którzy na „Wieczór Lwowa" przybyć nie mogli.

W części artystycznej chór im. Chopina śpiewał wiązankę lwowską „Sercie batiara" i walc „Tylko we Lwowie" w układzie swego dyrygenta p. Z. Gedla, a baryton p. W.Huczek z tow. chóru wykonał wzruszające „Orlątko" Żukowskiego do słów Or-Ota. Znani artyści lwowscy p. Reffen i Nina Oleńska zbierali huczne oklaski za wykonanie szeregu nastrojowych i rodzajowych piosenek i scen lwowskich. Na koniec p. Gwido Borucki, towarzysząc sobie na akordeonie, śpiewał żywiołowe lwowskie sztajerki i poleczki a szczerze ubawiona publiczność powtarzała refreny.

Estrada Westminster Hallu była pomysłowo udekorowana. Zebranie otworzył prezes Zarz. Gł. Zw. Ziem Płd. Wsch. p. A. Treszka, który powitał prez. T. Arciszewskiego, który reprezentował Radę Trzech, wiceprzew. T.R.J.N. p. Podoskiego, dra Odzierzyńskiego i p. Sabata z Egzekutywy T.R.J.N., prez. SPK p. Soboniewskiego oraz wszystkich przybyłych, których było mniej niż miejsc na sali. Przy stole prezydialnym oprócz prez. Treszki zasiedli p. Narożański — prez. Rady Gł. Zw. Ziem Płd. Wsch. oraz płk. Gnatowski — prezes i st. sierż. Pastuszka — wiceprezes Zw. Kół Oddz. 5 Dyw. Kresowej.

APEL O OFIARY NA POLSKĄ MACIERZ SZKOLNĄ ZAGRANICĄ Z OKAZJI ŚWIĄT BOŻEGO NARODZENIA I NOWEGO ROKU

Zarząd Główny P.M.S. wystosował apel do społeczeństwa polskiego, aby zamiast wysyłania kartek świątecznych z życzeniami, składać datki na akcję oświatową prowadzoną przez Polską Macierz Szkolną zagranicą. Istnieje obecnie pilna konieczność wydania podręczników szkolnych, czytanek itp., co oczywiście wymaga dużego wkładu pieniężnego.

Łaskawe ofiary należy przesyłać pod adresem: **Polska Macierz Szkolna Zagranicą, 5, Princes Gardens, London, S. W. 7.** Czeki, przekazy pocztowe (M.O. i P.O) wystawiać po polsku na: „Polska Macierz Szkolna".

Nazwiska ofiarodawców będą ogłaszane w polskiej prasie codziennej.



Fot. W. Bednarski — Londyn.
Siedmiu marynarzy z „Puszczyka" odpowiadało — jak donosiliśmy — na pytania dziennikarzy na swej pierwszej na wolności konferencji prasowej.

KULIG BEZ ŚNIEGU

Brak śniegu był główną bolącz, na którą narzekali wykonawcy wieczoru tańców, muzyki i słowa polskiego „Kuligiem przez Londyn" zaprodukowanego przez ZASP oraz Związek Inwalidów w St. Pancras Town Hall. Program wieczoru był tak dobry, że aż żal było każdego pustego miejsca na sali. Liczne amatorskie zespoły taneczne dzieci i młodzieży doskonale uzupełniały występy starych wyjadaczy sceny (słowo „starych" odnosi się rzecz prosta wyłącznie do mężczyzn) — zawodowych aktorów.

Zespół taneczny Hodgemoor jest grupą doskonale zgraną, o dużym zacięciu i brawurze, co naturalnie bardziej dawało się wyczuć w krakowiaku niż we wstępnym polonezie. Stanisław Kostrzewski wystąpił w dwóch punktach, z gawędą Sabały i z monologiem „Bartek". Obie rzeczy są dobrze znane, zawsze jednak słuchane z przyjemnością. Bezpośrednio po gawędzie góralskiej Barbara Sławińska odtańczyła taniec góralki, w dalszej zaś części programu taniec „Pastereczka". Ryszard Kiernowski, bezkonkurencyjny „Wincuk Markotny" dał chwilę prawdziwego humoru w monologu wileńskim, nie oszczędzając w nim prasy, a w szczególności „Gazety Niedzielnej" nadającej się podobno najlepiej do produkcji sznycli siekanych, mianowicie pieczeni rzymskiej.

Zespół taneczny polskiej YMCA popisywał się kilkakrotnie: w trojaku i mniej znanym miotlarzu śląskim oraz w różnych tańcach widowiska obrzędowego „Wesele chłopskie". Wreszcie Danuta Karell śpiewała pieśni Chopina i Niewiadomskiego, te ostatnie przy bisowaniu.

Dwa jednak punkty programu przyjęte były gorąco: Scherzo h moll Chopina ze słynnym motywem kolędy „Lulajże Jezuniu" wykonane przez Jerzego Kropiwnickiego i popisy najmłodszej dziatwy w śpiewach i tańcach: „Grosik", „Klepany", „Koziorajka" czyli taniec koziołka i krakowiak.

Dekoracje Stanisława Mikuły dodawały tła poszczególnym punktom programu. W całości występów choreograficznych znać było wytrawną rękę baletmistrza Cieplińskiego. Wieczór był pod każdym względem udany, z czego należy się cieszyć tym bardziej iż dochód z niego przeznaczono na pomoc rodzinom inwalidów wojennych.

JAK SIĘ UCZĄ POLACY

w Hammersmith School of Building, Arts and Crafts

Wzorem lat ubiegłych urządzona została wystawa prac studentów Hammersmith School of Building & Arts & Crafts w Londynie. Z wystawą tą łączy się bardzo ważny szczegół. Otóż tydzień przed jej zamknięciem odbyła się w Hammersmith Town Hall uroczystość wręczenia nagród co wybitniejszym studentom. Były dwa rodzaje nagród roczna nagroda szkolna i wysokie odznaczenie (dla każdego działu po jednym) „The Mole Memorial Medal". Na wydział budownictwa, architektury, inżynierii strukturalnej i geometrii medal przypadł w udziale Polakowi — p. Maciejowi Ostoja-Kotkowskiemu.

Nagrody szkolne otrzymali następujący studenci Polacy pp.: Jadwiga Sobotka, Krystyna Turska, Krystyna Janiszewska i Henryk Śliwa — Arts & Crafts; Aleksander Łukaszyk i Maciej Ostoja-Kotkowski (po raz drugi) — Higher National Diploma. Jacek Rumun — architektura, Mirosław Barciński, Piotr Jabłoński i Jan Czoske — strukturalna inżynieria.

Higher National Diploma zdali tylko sami Polacy: W. Karakulko, M. Ostoja-Kotkowski, A. Łukaszyk i W. A. Żuchowski.

KTO ODBUDOWUJE I ODNAWIA POLSKI KOŚCIÓŁ W LONDYNIE

W dalszym ciągu ofiary nadesłali:

Generał Józef Haller (dalsza rata) — £ 3; Józefa Majczykowa — 5/-. Bóg zapłać.

OSOBISTE

W kościele parafialnym w Beaconsfield, koło Amersham pod Londynem ks. J. Madeja, proboszcz osiedla Hodgemoor, pobłogosławił związek małżeński p. Stanisławy z Nowaków i p. Władysława Męcnerów. Świadkami ślubu byli liczni przyjaciele i znajomi Państwa Młodych. Szczególnie wielu było b. żołnierzy S.B.S.K., którzy od czasu demobilizacji osiedlili się w okręgu Buckshire. Po ślubie odbyło się przyjęcie w świetlicy osiedla Hodgemoor dla kilkudziesięciu osób.

Państwo Młodzi otrzymali wiele życzeń od rodziny i przyjaciół. Z Polski nadeszły życzenia od rodziców Pana Młodego, a z Ameryki Północnej od rodziców Panny Młodej. Gen. Kopański nadesłał specjalne życzenia, a Zarząd Główny Związku b. Żołnierzy S.B.S.K. wysłał gratulacyjny list.

POKWITOWANIA OFIAR

Wykaz ofiar wpłaconych w listopadzie 1954 do „Veritas" poza ofiarami na leki dla chorych w Polsce i na odnowienie polskiego kościoła w Londynie.

NA ZAKŁAD W HEREFORD

I. Pernal — 2.0.0; Leon K. — 3/-.

Razem £ 2.3.0.

NA MISJE KAT. W AFRYCE

Leon K. — 2/6; Z. Falkowski — 5/-; S.P. — 5/-; P. Kosewski — 2.0.0.

Razem £ 2.12.6.

NA ZAKŁAD W PITSFORD

Henryk Tomczak — 10/-; Michał Królikowski — 9/-; Józef Chorąży — 10/-; I. Pernal — 2.0.0; Leon K. — 3/-.

Razem £ 3.12.0.

NA DZIECI POLSKIE WE WŁOSZECH

Leon K. — 3/-.

NA GIMNAZJUM W FAWLEY COURT

Henryk Tomczak — 10/-; Michał Królikowski — 10/-; Michał Grech — 10/-; Józef Chorąży — 10/-; I. Pernal — 2.0.0; J Broda 1.15.0; T. K. Kulczyński — 2.0.0.; Wł. Sobański — 1.0.0; Bezimiennie — 2.0.0.

Razem £ 10.15.0.

NA PACZKI DLA POLAKÓW W SZPITALACH ANG.

Z. Fatkowski — 5/-.

NA TABLICĘ „MAGNIFICAT" W JEROZOLIMIE

Wincenty Chaber — 1.0.0.

NA BUDOWĘ POLSKIEGO KOŚCIOŁA W MANCHESTER

E. C. — 10/-; J. Cz. — 10/.

Razem £ 1.0.0.

NA DZIECI POLSKIE W NIEMCZECH

Michał Grech — 10/-; I. Pernal — 1.0.0; A. Synowiec — 1.0.0; Leon K. — 3/-; Z. Fatkowski — 5/-; J. S. Kazimowicz z Kanady — 1.13.0; L. S. — 10/-.

Razem £ 5.1.0.

NA POMOC DLA INWALIDY POLSKIEGO WE FRANCJI

D. Napiontek — 1.0.0; Bolesław Baczyński — 1.0.0; Tomczak i Haropiński — 2.0.0; C. Z. — 2.0.0; F. S. B. — 1.1.0; F. M. — 10/-; Celina Busza — 2/6; Bronisław Bliźniak 2/6; J. Kozakowska — 5/-; Wincenty Gawroński — 1.0.0; Dr Tadeusz Felsztyn — 2.0.0; J. Biliński 15/-; S. R. — 5/-; M. Pangar — 10/-; H. Ramasz — 5/-; Bezimiennie — 5/-; Leon K. — 10/-; Ignacy Słomczyński — 10/-; Z. R. Boroński — 6/6; A. Wróbel — 5/.

Razem £ 14.12.6.

OFIARY ZAMIAST ŻYCZEŃ ŚWIĄTECZNYCH

Do redakcji „Gazety Niedzielnej" napłynęło szereg ofiar pieniężnych na różne cele zamiast życzeń świątecznych. Ponieważ numer gwiazdkowy ukazuje się wcześniej, a prócz tego ofiary te w dalszym ciągu napływają, pokwitujemy te kwoty dopiero po Nowym Roku w ramach normalnych miesięcznych pokwitowań ofiar.

NASZA AKCJA MIŁOSIERDZIA

60-LETNIA STARUSZKA I SYN GRUŹLIK

„Zwracam się do was z prośbą. Mam syna młodego, który choruje na płuca, ja mam 60 lat i jestem chorowita, nie mogę zapracować ażeby dla niego kupić lekarstwą, które lekarze radzą. Kochani Rodacy bardzo proszę o przysłanie penicyliny, rimifonu i streptomycyny, bardzo dziękuję za dobre serce i pozdrawiam serdecznie z poważaniem

J. D."

LISTA OFIAR NR 51

Dr W. Jelonek — 10/-; J. Pogoda na dziecko z paraliżem dziecięcym — 10/-; Leon K. — 3/-; H. C. — 2/6; Tadeusz B. — 2/6; I. Lachowicz — 5/-, B. R. F. — 5.0.0.; Aleks i Wacław Cabańscy — 10/-; Jadwiga Deutscher — 1.0.0.

Razem £ 8.13.0. Bóg zapłać.

TAJEMNICA SPOWIEDZI



POWIEŚĆ — JÓZEF SZPILMAN

62)

Cóż innego mogły na to odpowiedzieć, jak tylko dziękować z całego serca? I dzieci, gdy im powiedziano o tym projekcie, okazały wielkie zadowolenie. Julka zgadzała się chętnie na wszystko, byle tylko jak najprędzej opuścić Akwizgran, gdzie wstydziła się pokazać na ulicy, a Karol mówił:

— W ten sposób mogę prędzej zostać misjonarzem i wiesz co, mamo, jak będę w Marsylii, to łatwiej znajdę sposobność pojechania okrętem do dzikich ludzi, skoro tylko moi nauczyciele osądzą, że na to zasługuję.

Ksiądz regens chciał się właśnie pożegnać, kiedy oznajmiono przybycie pana Meunier. Nowoprzybyły poprosił kapłana, aby zatrzymał się na chwilę, gdyż chciałby usłyszeć i jego zdanie co do kwestii, jaką chciał obu kobietom przedstawić.

Adwokat oznajmił najpierw, że po naradzie z księdzem Montmoulin i kilku kolegami, zrezygnował z wniesienia apelacji, gdyż nie ma to widoków powodzenia i spowodowałoby tylko niepotrzebne koszty.

— Rozstrzygająca była tu dla mnie wola naszego drogiego proboszcza, który ani słuchać nie chciał o apelacji — mówił pan Meunier. — Gdyby doszła ona do skutku — mówił proboszcz — musiałbym stawać jeszcze raz przed sądem, a tego nie chcę. Już wielki czas, aby zaprzestano mówić i pisać o zgorszeniu, w które wplątana jest moja osoba. Nowa rozprawa sądowa, która prawdopodobnie zakończyłaby się również skazaniem mnie, rozniosłaby dalej jeszcze wiadomość o tej smutnej sprawie i upamiętniłaby ją silniej jeszcze. Nie chcę już nawet mówić o udręczeniu, jakie rozprawy sądowe sprawiają oskarżonemu. Nie, skoro nie jest mi dane dowieść mojej niewinności, to już wolę umrzeć, aniżeli apelować. Być może, że uwierzą prędzej ostatnim słowom umierającego.

— Tak mówił biedny nasz męczennik i trudno nie przyznać mu pewnej słuszności. Pytałem go potem, czy nie chciałby podać prośby o ułaskawienie — nie byłoby trudno zebrać podpisy na jego korzyść w mieście i okolicy. Nie chciał nawet o tym słuchać, więc przyszedłem tutaj, aby zapytać o wasze zdanie i bardzo się cieszę, że zastałem księdza regensa, do którego w każdym razie byłbym się także udał.

Ksiądz regens poprosił, aby matka skazanego wypowiedziała pierwsza swoje zdanie. Po krótkim namyśle pani Montmoulin zapytała:

— A gdyby ułaskawiono mego syna, jaki spotkałby go los?

Adwokat wzruszył ramionami i rzekł:

— No, w każdym razie minęłaby go gilotyna i może dożyłby chwili, w której jakim szczęśliwym wypadkiem ujawniłaby się jego niewinność. Wszystko lepsze, aniżeli śmierć!

— Czy pozwolonoby mu dokonać życia w zamkniętym więzieniu? — pytała dalej matka.

— Tego nie mógłbym pani obiecywać — odrzekł smutno pan Meunier. — Można się spodziewać, że z najcięższej kary ułaskawią go na mniej ciężką — na dożywotnie ciężkie roboty albo na deportację!

— Mój syn w więziennym ubraniu, w kajdanach na rękach i nogach, miałby w towarzystwie galerników spełniać uwłaczające jego godności roboty na publicznych drogach — a ludzie pokazywaliby go sobie palcami i mówili: „Patrzcie, to jest kapłan!" — Nie, tego ja radzić nie mogę! To byłoby dla Franciszka gorsze, aniżeli śmierć! To w moich oczach nie jest łaska. Co ty o tym myślisz, moja córko? Czy chciałabyś ujrzeć swojego brata na ulicy w takim otoczeniu?

— Nie, matko, myślę tak jak ty! — odrzekła pani Jardinier.

— Nie podamy prośby o ułaskawienie, tym bardziej, że Franciszek sam sobie tego nie życzy.

— Na jego miejscu i ja bym z tego zrezygnował — rzekł regens. — Jak wam już mówiłem, uważam jego śmierć za rodzaj męczeństwa. Któż miałby ubiegać się o to, aby odsunąć męczeńską koronę, która uwieńczyć ma jego skronie?

— O ile sądzić mogę, ksiądz Montmoulin kieruje się tym samym zapatrywaniem, co jego matka, podzielanym również przez waszą wielebność — rzekł z powagą adwokat. — Dobrze! Zrezygnujemy więc ze starań o ułaskawienie i nie przeszkadzajmy męczeńskiej śmierci, której poddać się chce szlachetny, niewinny syn pani.

XX

JESZCZE CIĘŻSZY KRZYŻ

Minęły święta Wielkanocy. Skazany przygotował się na śmierć i gdy skończyły się święta, co godzina oczekiwał wiadomości, że nazajutrz wyrok na nim zostanie wykonany.

Los swój znosił mężnie i spokojnie. Dozorcy twierdzili, że nie widzieli jeszcze skazańca, który by tak nieustraszenie oczekiwał swej ostatniej godziny. Nie było tam udawanej rzekomej odwagi wobec śmierci, niespokojnego przechadzania się po celi, małodusznego strachu i rozpaczy, wygadywania na sędziów i przysięgłych, stoickiej zadumy, biadań lub skarg. Skazaniec był poważny i modlił się wiele, ale nie był smutny; przeciwnie, chwilami malowała się na jego twarzy dziwna radość i pogoda, czego sobie dozorcy nie umieli wytłumaczyć. Gdyby byli mogli zajrzeć do jego duszy, byliby się przekonali, że istotnie jego natura wzdrygała się przed hańbiącą i gwałtowną śmiercią, jednakże przyczyna tej śmierci napełniała go otuchą.

— Umieram jako ofiara kapłańskiego obowiązku — mówił sobie słusznie. — Śmierć moją Kościół uważać będzie za męczeńską, tak jak śmierć św. Jana Nepomucena. Kościół uczy, że taka śmierć gładzi wszystkie grzechy i kary za nie, a dusza takiego szczęśliwego człowieka otrzymuje zaraz koronę męczenników i przechodzi do wiecznej radości. Zatem w oświetleniu naszej wiary nie ma człowieka szczęśliwszego ode mnie i obawiam się tylko, czy godzien jestem tego najwyższego szczęścia.

W takim nastroju duszy znajdował się ksiądz Montmoulin od chwili skazania go na śmierć. Złożył Bogu ofiarę ze swego życia i modlił się o jej przyjęcie. Do odrzucenia propozycji adwokata, tyczącej się apelacji, skłaniała go więcej nadzieja owej męczeńskiej korony, niż obawa przed hańbiącym życiem galernika, a pan Meunier, któremu oczywiście nie wyjawił głównego powodu swej stanowczej odmowy, przeniknął go jednakże, jak się przekonaliśmy.

— Rozumiem cię, — mówił mu też ksiądz regens w czasie odwiedzin — i na twoim miejscu postąpiłbym tak samo. Nie jestem w istocie obowiązany do czynienia pozytywnych kroków w celu odwrócenia śmierci, jeśli z nią połączone jest większe dobro.

Te słowa sędziwego kapłana pocieszyły bardzo skazańca i uwolniły go od skrupułu, który go niepokoił. Jeszcze większej pociechy doznał, otrzymując kilkakrotnie z ręki księdza regensa Komunię świętą, na co ten uzyskał pozwolenie, dzięki poparciu swego przyjaciela z czasów młodości, prefekta departamentu. Ucieszyła go też wiadomość, że matka i siostra zostały zwolnione z więzienia i znalazły przytułek w domu księdza proboszcza La Grange. Toteż ze spokojem oczekiwał strasznej godziny, która zaprowadzić go miała na szafot i stawić przed sądem Chrystusa, znającego jego niewinność.

Tymczasem zbliżała się niedziela, kiedy miały przystąpić do pierwszej Komunii świętej dzieci, przygotowane przez księdza Montmoulin.

Ze smutkiem myślał o tym, że już ich więcej nie zobaczy. A co pomyślą o mnie one lub moi parafianie? Czyż rzeczywiście wierzą, że mieli zabójcę za duszpasterza?

Poprosił o papier i napisał do tych dzieci oraz do wszystkich parafian wzruszający list, dodając prośbę, aby za zezwoleniem księdza arcybiskupa odczytano go w niedzielę po egzekucji. Napisał też do samego księdza arcybiskupa, do księdza regensa i do swego obrońcy słowa podzięki i pożegnania.

(Ciąg dalszy nastąpi)

Przepraszamy naszych Czytelników, że mimo poprzedniej zapowiedzi, nie jesteśmy w stanie zamieścić dwóch zamiast jednej strony odcinka powieści. Nie pozwoliła nam na to — pomimo podwójnej objętości gazety — ilość aktualnego materiału, przeznaczonego do numeru gwiazdkowego „Gazety Niedzielnej".

REDAKCJA

REDAKCJA i ADMINISTRACJA: 12, PRAED MEWS, LONDON, W.2, Telefon: AMB 6879. VERITAS FOUNDATION PUBLICATION CENTRE. Prenumerata (z przesyłką) płatna z góry: miesięcznie 2/6; kwartalnie 7/-; półrocznie 14/-; rocznie 28/-. Niezamówionych rękopisów Redakcja nie zwraca. OGŁOSZENIA: 1 cal przez 1 łam — £ 1. W tekście 50% drożej; na pierwszej stronie 100% drożej. Za każde następne ogłoszenie tej samej treści — opust, zależny od ilości ogłoszeń. Nekrologi 10/- za cal. Ogłoszenia drobne: 1/- od wiersza. Za treść ogłoszeń Redakcja nie odpowiada. PRZEDSTAWICIELSTWA ADMINISTRACJI: ARGENTYNA — „Libreria Polaca", Serrano 2076, Buenos Aires. AUSTRALIA — „Vistula" (Australia) Pty, 77, Pitt Str., Sydney oraz „Społem", 85, Wattle Ave., Royal Park, Adelaide, S. A. BELGIA — E. Kułakowska, 101, Rue Auguste Lambiotte, Bruxelles. BRAZYLIA — Z. Kietlińska, Av. Batel 1514, Curitiba, Parana. oraz Rev. W. Słapa, Rua Marques de Abrantes 215, Rio de Janeiro. FRANCJA — Przedstawiciel Generalny — „Libella" Librairie, 12, Rue St. Louis-en-l'Ile, Paris IV. HOLANDIA — B. Galas, Fagelstraat 15A, Breda. KANADA — Canadian Mosaic Publishers, Suite 1, 4118, Western Ave., Montreal 3, oraz International Book Service, 57, Queen Str. W., Toronto oraz „Radegast", 570, Aberdeen Ave., Winnipeg, Man. NIEMCY — S. Mikiciuk, Seehammerstr. 4, Bar. 16 B/2 (13B) München 54 oraz „Informacja Prasowa", Postfach 86, (23) Quakenbrück. NORWEGIA — B. Łubiński, Fagerturveien 14, Bestun ved Oslo. STANY ZJEDNOCZONE — „Gryf Publications", 615, Henry Str., Utica, N.Y. oraz M. Kijowski, 13171, McDougall, Detroit 12, Mich., oraz J. Stojanowska, 424, Ave „E", Bayonne, N. Jersey oraz „Pomoc" — Export Import, 761, Fillmore Ave., Buffalo 12, N.Y. SZWAJCARIA — Mgr A. Bocheński, Case Postale 19, Fribourg 2. SZWECJA: Mgr B. Kurowski, Lund, Revingegatan 13 B. WŁOCHY: Mme Z. Bułhak-Jelska, via Salaria 300 C, Roma. W sprawach prenumeraty i ogłosz. prosimy porozumiewać się z przedst.

Printed by: Veritas Foundation Press, 12, Praed Mews, London, W. 2. Tel.: PAD 9734.